

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 27 (1230) ROK XXIV

5 LIPCA 1981 R.

CENA 7 ZŁ

JERZY KATARASIŃSKI SKRZYŻOWANIE

Wiele świadczy o tym, że zbliżamy się do skrzyżowania, które zdecydowanie — czy z mniejszym lub większym trudem — zaczyna wreszcie wychodzić na prostą, czy też łagodnie, lub ostrzej — w wirach prowadzący do pętli, do nawrotu, lub gorzej — w niewiadomą. Świadczy o tym nagromadzenie wielu niepokojących faktów mieszających się w

Dalszy ciąg na str. 4



Odświeżenie pomnika „Jedność”, upamiętniającego wydarzenie Czerwca 1956 r.

Foto :R. Łucyszyn

MACIEJ ANDRZEJEWSKI

GREAT NAMYSŁOWSKI

Dla tych, którzy stawiają jazz na równi z innymi dyscyplinami sztuki, Namysłowski jest tak wielki, jak owych siedmiu czy dziesięciu największych eksportowych Polaków.

I tu powinienem postawić kropkę. Zaczęłam bowiem w takim stylu, jakbym był recenzentem albo eseistą muzycznym, jednym z facetów, których twórczość napawa mnie obrzydzeniem — Waldorfa na przykład w ogóle nie mogę czytać, a jak go słyszę przez radio, lub widzę w telewizji, odruchowo zaczynam zgrzytać zębami.

Ciągnąć więc sprawę, czy cisnąć do kosza? A może zaatakować ją z boku? Nie od rzeczy jednak byłoby chyba rozprawać Zbigniewa Namysłowskiego w kontekście plotkarsko-historycznym, nie pomijając przy tym własnej osoby i nie bawiąc się przypadkiem w żadną fałszywą skromność, że to: wiecie, kochani, co ja się tu będę przechwalał...

Zatem: Z książki „Obywatel Jazz” Radlińskiego i ze „Słownika Pisarzy Polskich” Bartelskiego wynika, że Namysłowski jest moim rówieśnikiem, aczkolwiek Zbyszek ciągle wygląda młodo, a ja zdążyłem już przekroczyć straszliwy Rubikon czterdziestki. Mając osiemnaście lat, albo coś koło tego, pojechałem z trąbką na otwarcie warszawskiego klubu „Hybrydy” i tam po raz pierwszy zobaczyłem tego chłopaka. Grał na pu-

nie i na wolonczeli w dwóch różnych zespołach. Grupa łódzka wdarła się na estradę dopiero pod sam koniec imprezy. Później odbyło się wspólne „jam session” wszystkich zaproszonych muzyków i ku mojemu niepomniernemu zdziwieniu ci z Warszawy, z lekką odęci i nastroszeni, obracali w zębach gumy do żucia, odpluwając się dyskretnie za kotarę w przerwach między jednym kawałkiem a drugim. W ogóle trzeba przyznać, że atmosfera była luźna. Kto chciał palić, to palił na scenie, modne już było przysłówie: „bez gazu nie ma dżazu”. Pewnie dlatego że zmieniły się społeczne nastroje i obyczaje. W satyrycznych gazetach nie wiskano już czytelnikom ciemnoty, że guma do żucia psuje zęby i deformuje zgrzy, co zaś się tyczy nie znanej jeszcze nikomu coca-coli, że próchnieją od niej kości i mięśnie kora mózgowa.

Krytycy polscy, nie licząc tych

najbardziej ortodoksyjnych, coraz rzadziej szermowali modnym w czasach stalinowskich twierdzeniem, iż „jazz jest muzyką nędzy duchowej i jednym z przekleństw wykulturowania”. ba, tu i ówdzie pojawiły się nawet opinie, iż w narodzinach tej wielkiej, buntowniczej sztuki Murzynów Słowianie mieli swój niezaprzeczalny udział (patrz artykuł: „Profesor Jazow — twórca jazzu”).

Po raz drugi widziałem Namysłowskiego w Sopocie, na Festiwalu Jazowym, z tym, że wówczas role były już odwrócone: on stał z puzonem na scenie i zbierał oklaski, ja zaś siedziałem wśród zwykłych śmiertelników na widowni, gdzie w dodatku udało mi się dostać bez biletu jakimś lewym wejściem.

Dalszy ciąg na str. 10

Z LEON MITKIEWICZ SIKORSKIM NA OBCYZYNIE

Mija kolejna rocznica tajemniczej śmierci Generała. Dopiero w roku 2016 mogą być opublikowane dokumenty sporządzone przez pewnego oficera wywiadu brytyjskiego, który uczestniczył w badaniu przyczyn katastrofy gibraltarskiej. Do tego czasu zapewne gubić się będziemy w podjęciach i domysłach.

Literatura faktu jest obszerna. „Mister Poland”, jak nazywała Sikorskiego prasa brytyjska uczestniczyła bowiem wcześniej w dwóch niemiennie groźnych sytuacjach, o których pisze jego bliski współpracownik płk dypl. Leon Mitkiewicz w swym pamiętniku pt. „Z Sikorskim na obczyźnie” wydanym w N. Yorku w 1965 r. Warto jeszcze dorzucić kilka mało znanych szczegółów do lotniczych wypadków Sikorskiego, których nieśmiertelność nie traktował z należytą powagą, choć latać nie lubił. Otóż: katastrofy lotnicze w czasie wojny zdarzały się często, ale ze względu na tajemnicę wojskową nie informowano o nich szerokiej opinii. Np. 25 sierpnia 1942 roku zginął tak książę Kentu. Sprawców dwóch pierwszych zagrożeń życia Generała nigdy nie wykryto. O trzecim posądzono obok wywiadu brytyjskiego, przeciwników politycznych z grona emigracji londyńskiej, wywiadu niemieckiego i innych, również gen. Andersa, którego zgrupowanie wylądowało Sikorski w Afryce, skąd wracał

via Gibraltar do Londynu. Tak odczytywany jest np. fakt, iż Anders nie odprowadził Sikorskiego na lotnisko podając jako powód atak malarii. Sikorski przekazał mu kartkę z pozdrowieniami skreślonymi tuż przed startem. W sposób znaczący odczytywane jest także zdenerwowanie Generała przed odlotem, świadkowie mówią, iż pełen był złości przeciwko. Termin odlotu do Gibraltaru miano nawet zmienić, ale ponaglała depesza od Churchill'a przesądziła sprawę. Zofia Leśniowska — ukochana córka wy ojca, „już niedługo utone i zjedzą mnie ryby” — żartowała. Na to ojciec: „Po co ja wzięłem dziecko w podróż. Już jej nigdy nie zobiorę, za duża odpowiedzialność wobec matki...”. Również po wylądowaniu w Gibraltarze, wielu uroczystych spotkań, zamiar Sikorski opóźnił odlot.

W końcu jednak w niedzielę 4 lipca po mszy, uroczystym obiedzie z szefami misji alianckich i odebraniu długiej, tajnej depeszy od Roosevelta o 22.30 pojechał na lotnisko. Po normalnym starcie o 23.20 po 28 sekundowym locie Liberator runął w morze w odległości 500 m od brzo-

WIESŁAW MACHEJKO

20 MARCA 1942 ROKU.
GASK, SZKOCJA.

Po południu, o godz. 14, telefonują z portu lotniczego z Prestwick, że nareszcie jest dobra pogoda nad Oceanem Atlantyckim i że dzisiaj w nocy mamy odlecieć do Ameryki. O godz. 16 opuszczamy dom państwa Sikorskich, zegnamy się z panią Heleną Sikorską i panią Zofią Leśniowską, które odprowadzają Generała do samochodu. O godz. 19 jesteśmy w Prestwick. Stari naszego „Liberatora” wyznaczony jest na godzinę 1 w nocy: 01.00 dnia 21 marca 1942 roku.

* * *

22 MARCA 1942 ROKU. HOTEL
RITZ-CARLTON, MONTREAL, KANADA.

Płk. Bogdan Kleczyński jest naturalnie wyrocznią w sprawie lotów; ma on za sobą ponad setkę bojowych lotów bombowych. Kleczyński, dla dodania nam odwagi oraz wiary w doskonałość i niezawodność środków ratowniczych współczesnego lotnictwa, opowiada o swojej wojennej przygodzie, kiedy to Niemcy zestrzelili go nad Kanalem La Manche, w bieżącym roku; będąc lekko ranny w nogę, nawigował z pomocą drewnianej łopaty w malej gumowej łodzi, w kierunku brzegów angielskich, dopóki go nie wyciągnęła w stanie półprzytomnym, łódź ratunkowa marynarki brytyjskiej i nie odstawiła na brzeg, wprost do szpitala. Skutek opowiadania Kleczyńskiego jest raczej wręcz odwrotny: nie wzmocnił on ani trochę naszej wiary w środki ratownicze. Zadzajemy Kleczyńskiemu zasadnicze pytanie: czy nie ma różnicy w „nawigacji” w łódce gumowej, pomiędzy Kanalem La Manche, a północnym Oceanem Atlantyckim, w dodatku w końcu marca. Płk. Kleczyński, po chwilowym namyśle, odpowiedział, że naturalnie jest duża różnica, ale co najmniej istnieje jeden procent (!) szansy na uratowanie i że należy to przyjąć za pewnik niewzruszony. Po tym oświadczeniu, które przyje-

liśmy w zrezygnowanym a pośpiesnym milczeniu, dr Retinger, który otwarcie przyznaje się, iż „nie kocha” wszelkich podróży powietrznych, ma ca się pośpiesznie po kieszeni, aby sprawdzić, czy posiada butelkę whisky, którą uważa za najskuteczniejszy i najbardziej niezawodny środek na wszelkie ewentualności podróży samolotem.

Przygotowania do podróży rozpoczęły się w Prestwick o godz. 1 w nocy. Pierwszą naszą czynnością było ubieranie się do lotu; włożyliśmy podwójne kombinezony, ogromne futrzane buty, wieloślone rekawice, kominiarki, a dopiero na to wszystko nałożyliśmy ryszunek do ewentualnego użycia spadochronu. Zważywszy, że to wszystko włożyliśmy na swoje mundury, nasz wygląd był naprawdę dość pocieszny: wyglądaliśmy jak ekspedycja na biegun północny. Następnie zaprowadzono nas do briefing room, gdzie nastąpiły pouczenia, jak należy zachować się w samolocie (maski tlenowe) oraz w wypadku przymusowego lądowania na oceanie.

Przydziel miejsc w łodziach ratunkowych na wypadek katastrofy wyznacza mnie i dra Retingera do łodzi przeznaczonej dla gen. Sikorskiego. Instruktor, młodzieńki porucznik Royal Air Force, ze skupioną uwagą ale z figlarnymi błyskami w oczach, mówi nam, że w momencie kiedy samolot będzie dotykał wody — tj. Oceanu Atlantyckiego — należy się mocno czegoś trzymać i odprężyć wszystkie mięśnie, aby nie doznać skutków wstrząsu; następnie doradza, aby odczekać spokojnie aż samolot dobrze osiadzie na wodzie (może utrzymać się na niej, zależnie od warunków, do 5 minut) i wtedy, na rozkaz dowódcy samolotu, wszyscy mają pojedynczo opuszczać kabiny przez wyjście ratunkowe. Opuszczając samolot oznacza, jak nam wyjaśnia młody porucznik RAF, o ciagle śmiejących się oczach, rzucić się na fale Oceanu Atlantyckiego i dopłynąć do wyznaczonej łodzi gumowej, która napelniona automaty-

Dalszy ciąg na str. 7

A CO Z CHLEBEM?

Przed kilkoma miesiącami ogłoszono, że nastąpi duża podwyżka cen skupu zboża. Rolnicy znaczną część zbóż pozostawili w spichrzach, aby sprzedać je po lepszej cenie. Tymczasem magazyny państwowe zaczęły świecić pustkami.

Od 1 lipca obowiązuje nowy cennik, według którego kwintal zboża kosztuje średnio 1000 zł. Chłopi będą teraz zwozić masowo zgromadzone zapasy, których młyny nie nadążą przerobić na mąkę i kaszę. Muszą to jednak zrobić, żeby magazyny były puste i czyste, gdyż starego zboża nie wolno mieszać z nowym, bo w ten sposób wszystko można zżarować, zarażając szkodnikami.

W DNIACH 22-23 czerwca odbywały się w Łodzi obrady architektów i teoretyków sztuki i urbanistyki. Seminarium Tradycja i modernizm. Konfrontacje i inspiracje" było jedną z imprez towarzyszących XIV Kongresowi UIA (między narodowej organizacji architektów). Seminarium zorganizowane zostało przez Oddział Łódzki SARP, Muzeum Historii Miasta Łodzi i Muzeum Sztuki. Zgromadziło ono architektów, urbanistów i historyków z całego świata.

W trakcie trwania obrad otwarto trzy wystawy: "Modernizm i Tradycja" w Muzeum Sztuki, "Tradycja i Hilary Majewski, architekt Łodzi 1872-1922" i "Drogi poszukiwań".

W LIDZBARKU WARMIŃSKIM na zakończenie kilku dni temu "Biesiadach humoru i satyry" i miejsce w konkursie na piosenkę kabaretową nagrodę publiczności oraz nagrodę "Solidarności" zdobył łódzki kabaret "Kapota".

W OKRESIE letnim lodzian pozostających w mieście zaprasza Teatr Uniwersytetu działający przy Estradzie Łódzkiej. Zaprezentuje on cykl imprez pt. "Wieczory z Teatrem Uniwersytetu". Cały cykl składa się z trzech odrębnych spektakli: "Bela ko: Ofelia polska" - monodram oparty na tekstach Stanisława Wyspiańskiego "Śmierć Ofelii" i "Wyzwolenie", w wykonaniu Grażyny Długolekiej, kabaret w wykonaniu Długolekiej, kabaret w wykonaniu Ireneusza Karamona.

KILKA DNI temu grupa pisarzy przedstawicieli Łódzkiego Klubu Pisarzy: A. Zawilski, T. Glogier, W. Jazdyński, S. Kaszyński i A. Olszyna złożyła wizytę przydziałowi miasta. Józefowi Niewiadomskiemu Przedmiotem rozmowy na spotkaniu były sprawy organizacyjne i programowe klubu, który rozpoczął działalność w naszym mieście 2 dniem 12 marca 1981 roku.

ROZSTRZYGNIĘTO ogólnopolski konkurs radiowy na słuchowisko dla młodzieży o tematyce współczesnej. Trzecią nagrodę za pracę pt. "Dzień bez daty" otrzymał red. Zbigniew Wojciechowski z Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia.

W MINIONYM tygodniu w Łodzi odbył się ogólnopolski konkurs amatorów filmów o tematyce folklorystyczno-etnograficznej. W konkursie startowało 25 tytułów.

W SALONIE SZUKI WSPÓŁCZESNEJ zakończyła się przed kilkoma dniami wystawa "Stawka" Józefa Mroza.

W BIEŻĄCYM roku przypada jubileusz 25-lecia "działalności" Towarzystwa Przyjaciół Sztuki Pięknych. Program obchodów jest bardzo bogaty. Jedną z imprez tego programu jest otwarta włas-

nie w Klubie MPK wystawa exlibrisów Zbigniewa Janeczka.

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ SZUKI PIĘKNYCH jest także współorganizatorem otwartej niedawno w galerii "Desy" wystawy prac Andrzeja Sapki "Obiekty niezidentyfikowane".

W GALERII BALUCKIEJ czynna jest wystawa grafik A. Kalczyńskiego.

W SALONIE SZUKI WSPÓŁCZESNEJ obejrzeć można ekspozycję grafik K. Nagoka.

W OŚRODKU PROPAGANDY SZUKI w parku im. H. Sienkiewicza otwarta została wystawa pt. "Grafika i rysunek XX wieku".

KRONIKA KULTURALNA

W MUZEUM SZUKI otwarto wystawę pt. "Międzynarodowa Sztuka Nowoczesna ze zbiorów Muzeum Sztuki w Łodzi". Wystawa czynna będzie prawie przez całe lato a została przygotowana w ramach obchodów jubileuszu tej placówki.

LAUREATAMI XXII Łódzkiej Wiosny Piosenek zostali:

- w kategorii utworów o tematyce dowolnej i nagrodę otrzymała Urszula Zybura z Kalisza, dwie II nagrody - Marian Kawałko z Lublina i Roman Górecki z Łodzi, trzy III nagrody - Marek Gnia z Płocka, Jan Strzdało z Gilwice, Stanisław Melki z Bydgoszczy; przyznano też pięć wyróżnień.

- w kategorii utworów o tematyce religijnej i nagrodę zdobył Stanisław Filipowicz z Dzieżgonia, dwie II nagrody Stanisław Kolada z Wrocławia i Eugeniusz Garnuch z Pabianic, dwie III nagrody - Andrzej K. Torbus z Krakowa, Emil Biela z Myślenic; przyznano też trzy wyróżnienia.

Nagrodę specjalną Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi otrzymał Stanisław Kolada z Wrocławia.

DO ŁODZI przyjechała ze swoją grupą "Porter Band" John Porter. Muzyk, który skompletował pod starą nazwą nowy zespół muzyczny w składzie: Winicjusz Chrost, Paweł Dabnowski i Wojciech Morawski koncertować będzie w naszym

denckie, a następnie wybory parlamentarne. Jak już pisaliśmy - FPK dysponuje dziś mniejszą ilością mandatów w Zgromadzeniu Narodowym niż poprzednio, ale wniosła ogromny wkład w zwycięstwo socjalistów, a przede wszystkim socjalistycznego prezydenta. Z logiki wydarzeń wynika więc miejsce komunistów w rządzie.

Otrzymał on cztery teki, wprawdzie nie kluczowe, ale w dużym stopniu decydujące o powodzeniu reformatorskich zamierzeń prezydenta.

W ub. tygodniu przez obie partie: komunistyczną i socjalistyczną podpisana została wspólna deklaracja, która precyzuje założenia polityki wewnętrznej i zagranicznej Francji. Warto podkreślić, że zawarty tam program nie jest kompromisem między programami obu partii, każda z nich zachowała swą polityczną osobowość. Jest to raczej zbiór zadań, co do realizacji których w najbliższym okresie jest między nimi zgodność.

Jak można było się spodziewać, ten ważny fakt polityczny żywo komentowany jest w świecie. W niektórych kołach wyrażane są: zaniepokojenie i obawa. Daj temu wyraz Waszyngton w oświadczeniu Departamentu Stanu. Zawarte tam stwierdzenie: "atmosfera i troska naszego sojuszu mogą ulec zmianie w wyniku włączenia do rządu komunistów" komentowane jest jako ostrzeżenie i pod adresem Francji i Włoch gdzie przecież wciąż krążyła się o krok od wejścia do rządu. Administracja Reagana bardzo obawia się takich "niebezpieczeństw", szermuje argumentami tajemnic wojskowych w NATO, dopuszczania do programów strategicznych... W związku z tą ostatnią sprawą warto odnotować, że francuskie czynniki oficjalnie odmówiły skomentowania doniesień jakoby nowy rząd zapewnił NATO o niedopuszczeniu komunistów do tajemnic sojuszu atlantyckiego.

I jeszcze jeden temat dzisiejszego przeglądu wydarzeń: upadek prezydenta Iranu.

Z doniesień prasy codziennej, radia i telewizji wiemy, jak rozwijała się sytuacja. Warto natomiast odpowiedzieć na pytanie: dlaczego Bani Sadra tak szybko przegrał?

Bezpośrednim powodem stało się oskarżenie go o niekompetencję polityczną, w istocie od samego zwycięstwa wyborczego przed 17 miesiącami był on zwalczany przez siły skrajne. Dotychczasowy prezydent reprezentował bowiem umiarkowanie i świeckość władzy. Te raz przejdzie ona całkowicie w ręce partii islamskiej. Z pewnością będzie to oznaczało zaostrzenie wewnętrznej sytuacji w kraju oraz usztywnienie stanowiska wobec Iraku, co nie rokuje nadziei na dyplomatyczne rozwiązanie konfliktu z tym krajem.

Warto podkreślić jeszcze jedno: odejście Bani Sadra musi być głębokim przeżyciem dla Chomeiniego, gdyż był on na wygnaniu jego najbliższym współpracownikiem.

KONKRETY

Stare zboże będzie płynąć do magazynów, a tymczasem w sklepach może zabraknąć chleba. Paradoxs wynika z tego, że od 1 lipca kilogram zboża kosztuje 10 zł, a kilogram chleba - 6 zł. Pásze treściwe są jeszcze droższe, w związku z czym chleb stał się najtańszą paszą. Chłopi zajeżdżają pod sklepy i ładują na wozy po dwadzieścia bochenków. I nie należy im się dziwić, że wykorzystują tę sytuację. To nie oni ją wymyślili. Pierwszy błąd polegał na tym, że zbyt wcześnie ogłoszono podwyżkę cen skupu zboża. A skoro się już na to zdecydowano, to od 1 lipca należało podnieść również cenę chleba. Albo więc natychmiast musi zdrożeć chleb, albo trzeba wprowadzić jego reglamentację. Czy są inne wyjścia?

R. BINKOWSKI

mieście 3 lipca w Centrum Kultury Włókniarzy "Dąbrowa".

W UBIEGŁYM tygodniu obradowało Prezydium ZL TPPR. Obrady prowadził przewodniczący ZL TPPR - prezydent Łodzi - Józef Niewiadomski. Dyskutowano o kierunkach pracy zarządów TPPR w obecnej sytuacji społeczno-politycznej i umacnianiu przyjaźni i współpracy polsko-radzieckiej oraz o wstępnych założeniach dotyczących działalności ZL TPPR na następny rok, tzn. od września br. do sierpnia roku przyszłego.

Sporo mówiono o działalności TPPR w zakładach pracy, szkołach i na wsiach. Padło wiele propozycji wzbogacenia i uatrakcyjnienia form popularyzacji wiedzy o Kraju Rad.

JESTEŚMY DROŻSI

Tak jak i inne gazety i czasopisma, jesteśmy od tego numeru drożsi. Egzemplarz "Odgłosów" kosztuje 7 zł.

Dobrze to, czy źle? Ekonomia nie przyjmuje tego rodzaju pytań. Odpowiada - wzrosły ceny papieru, koszty usług poligraficznych, transportu, itd.

Nowa cena naszego pisma jest po prostu ceną realną. Czytelników prosimy o zrozumienie tego faktu.

Zespół "ODGŁOSÓW"

INFORMUJEMY

naszych Czytelników, że druga część artykułu "Radomski czerwiec - próba rekonstrukcji" z przyczyn niezależnych od redakcji nie ukaze się. Przepraszamy.

POZNAŃSKI CZERWIEC Z ŻABIEJ PERSPEKTYWY

Kiedy 28 czerwca 1955 roku pościąg relacji Łódź-Poznań zatrzymał się na peronie docelowej stacji, przybyłych na Targi Poznańskie przywitała piękna, słoneczna pogoda. Nikt nie kontrolował biletów przy wyjściu, co wówczas było regułą. Zegar na peronie wskazywał godzinę 11,30.

Przed dworcem stały tramwaje z opuszczonymi palakami.

- Kłopoty z prądem? - zagadnieniem pierwszego przechodnia.

Spojrzał na mnie, mierząc od stóp do głowy.

- Panie, coś pan z Księżycą spadł? Przecież u nas rewolucja, w Poznaniu rządzą robotnicy, a w innych miastach całego kraju to samo: w Łodzi, Warszawie, Bydgoszczy...

Przez chwilę stałem oniemiały, a potem ruszyłem do centrum miasta. Po drodze wtopiłem się w tłum ludzi podążający w tym samym kierunku.

- Pochód i manifestacje odbyły się już dwie godziny temu - zyczliwie informował mnie czternastolatek z rozszalałą twarzą.

Na szarym gmachu zawieszony zielony transparent z białym napisem: "Chleba i wolności". To Komitet Miejski PZPR. Tłum gęstnieje coraz bardziej. Na ulicy Dąbrowskiego dochodzą do opuszczonego przez żałogę czołgu, który przeistoczył się w zaimprovizowaną mównicę. Stoją na nim: strażak z odkrytą głową i czapka w dłoni. Przemawia, ale właściwi rozmawia z tłumem.

- Ludzie, mam troje dzieci i chorą żonę. Każdego miesiąca, po dwudziestym, pieniędzy nie starcza. Czy mamy zdychać z głodu? - porządkowa czapka. - Ludzie, tak dalej być nie może - krzyczy donośnym głosem.

Obok niego, przegrodzona tylko żelazną barierą działą czołgowa, tkwi nieruchomo młoda kobieta w grzonym w oczy cyklamenowym swetrze, z rozwiartymi na wietrze rękami i blond włosami. W dłoni trzyma kurczowo białoczerwona flagę, poplamioną krwią. Z oddali dobiega odgłos pojedynczych wystrzałów.

Przesuwam się z tłumem dalej i nagle znajduję się przy skrzyżowaniu, gdzie dwa przewrócone wagony tramwajów tworzą barykady. Padają strzały, tym razem zupełnie z bliska. Tłum rozprasza się. Odruchowo kucam przy przewróconym wagonie i przyklejam się do podwozia.

Kiedy podnoszę się, słyszę męski głos: - A ty skąd się wziąłeś? W granatowym, roboczym kombinie, z białoczerwoną opaską na ramieniu, w dłoni trzyma karabin. Śniadoszara, wymęczona twarz może czterdziestoletniego mężczyzny. Ja z Łodzi - odpowiadam krótko. - Na Targi... Patrzy na mój jasny garnitur, krawat, koszulę, podróżną walizkę i przewieszony na ramieniu trenz. - No to uciekaj do mamy albo narzeczonej - żartuje ze mnie.

Padają strzały, z okien, gdzieś za nami, sypie się szkło. Podrywam się i usiłuję czmychnąć, ale silna dłoń na moim ramieniu osadza mnie na miejscu. - Zwartowałeś - krzyczy mi nad uchem mój rozmówca. - Nie tędy. Ustrzelą cię jak kaczkę... Za wagonami, wzdłuż muru - popycha mnie energicznie.

Skurczony biegnę i dopadam węglą domu. Oglądam się za siebie. Z okien osmolonego budynku przy ul. Kochanowskiego padają strzały. Kilka sylwetek w granatowych kombinach, przywartych do wagonów, odpowiada ogniem. Głęboko oddycham i czuję, jak pot spływa mi na skronie.

Wracam pospiesznie w kierunku starego miasta - ratusza. Po drodze odnajduję otwarty bar mleczny. Kuchnia wydaje tylko pomidorową zupę, ale kiedy zabieram się do obiadu, słyszę tumult na ulicy: - Gaz, gaz! Izawiać... Nie, nie - krzyczy młody mężczyzna - to załóża dymna. - Jeżeli gaz, to najlepiej na dach - radzi ktoś inny. Istotnie, wylot ulicy przesłania obłok parzyący też dymu. Czmycham na trzecie piętro najbliższego domu i z grupą młodych ludzi usiłuję wydostać się na dach. Na próżno, włączam szalenie zamknięty. Zbiegamy na dół: obłoku już nie ma, ale na "obiad" odeszła mi ochota.

Kiedy przechodzę obok skweru, słyszę grzechot gąsienic i łoskot

motorów rezonujących z sąsiedniej ulicy. Wyłaniają się spoza narożnika domu dwa czołgi. Padają pojedyncze strzały. Kto strzela do kogo - nie wiem. Rzucam się na chodnik pod murkiem odgradzającym ulicę od skweru. Łoskot narasta. Zakrywam głowę i z perspektywy żabiej spoglądam w bok. Na jezdni, około 5 metrów ode mnie, stoi czołg. Widzę tylko jego gąsienicę. Na chwilę znieruchomił. Idiotyczne myśli krążą mi po głowie. Wyobrażam sobie pracę na przyspieszonych obrotach. Wydaje się, że wszystko to trwa wieki. Wreszcie stalowy kołos rusza. Podnoszę się z ziemi, otrępuję utyłtany w kurzu i pyłe garnitur, podnoszę walizkę i upuszczony na chodnik trenz.

Przy "Okraglaku" tli się ogień i w górę bucha skup dymu. Pałają się akta sądowe w różowych obwolutach. Jacyś dwaj osobnicy z ogolonymi głowami w szarych kiltach rozmawiają z ludźmi:

- Może lepiej wrócić do więzienia, bo jak co, to nas jeszcze rozstrzelają - mówi jeden. - Nie ma co, jak wywołali nas z więzienia i spalili akta, to nie ma się czego bać - uspokaja drugi.

Jezdnią wolno przejeżdża motocykl z koszem. Wiozą w nim rannego mężczyznę w granatowym kombinie. Cała głowa zakrwawiona, obwiązana podartą na pasy koszulą. Na drugim motocyklu, solowce, na tylnym siedelku, przywiązany pasem do kierującego, bezwładnie spoczywa na jego plecach młody człowiek w białej koszuli. Krwi nie widać, ale ręce opadły mu bezwładnie wzdłuż ciała. Jada do szpitala. Jacyś zagraniczni turyści z pośpiechem filmują tę scenę.

Między Bankim a hotelem BAZAR ustawiono czołg dla zabezpieczenia mienia państwowego. Żołnierze wżajemnie częstują się papierosami z robotnikami w kombinach i białoczerwonych opaskach na ramieniu. Lufa czołgowej działki jest wymierzona w gmach hotelu. Ale to przecież przypadek; nie można lufy schować do środka. Jednakże turyści, zagraniczni, pełni widocznie najgorszych obaw, tłumnie opuszczają hotel.

Z głośników dobiega głos premiera J. Cyrankiewicza o ręce, która zostanie odcięta, jeżeli się na władzę... - Sytuacja jest całkowicie opanowana - mówi premier, a jego głos miesza się z odgłosem ciągle jeszcze trwającej kanonady od strony ulicy Dąbrowskiej.

Wszystko jednak rozstrzyga się dopiero w nocy. Widzę przez okno przygodnej kwatery: na niebie wybuchają race oświetlające, jak w kolorowym fajerwerku zrywają się świetne pociski. Słyszę wzmoczone odgłosy wystrzałów, broni maszynowej, a nawet głucho, pojedyncze detonacje.

Rano jest istotnie po wszystkim. Na ulicach zielono od wojskowych mundurów. Żołnierze w bojowym rynsztunku, w hełmach, z bronią w pogotowiu. Ulice zatłoczone kolumnami czołgów. W murach domów gdzieś niegłębie głębokie wyrwy po pociskach. Szyba w sklepie jubilerskim zbita ale zegarki leżą na wystawie nie ruszone. Z dachów nagle padają pojedyncze strzały. Odpowiada im wściekła pałba broni skierowanej z dołu przez wojsko. Znow leżą na ziemi. Ale wszystko nagle cichnie. Twarze żołnierzy nie ogolone, nachmurzone. Nic nie mówią. Wówczas ktoś z tłumu czyni uwagę:

- Oni po polsku nie rozumieją. To chyba nie nasze, w naszych mundurach.

I wówczas jeden z żołnierzy z wściekłością rzuca papierosa na ziemię i krzyczy:

- Zwartowałeś, czy co. My tu prosto z poligonu, żeby zrobić porządek... na rozkaz.

Tłum komentuje: powiedzieli im, że Niemcy z okazji Targów zrobili w Poznaniu ruchawkę...

O 11 otwierają Targi. a około południa przyjeżdża do Poznania kawalkada samochodów - komisja rządowa. Połączeni kursują już normalnie. W utyłtanym garniturze, po nieprzespanej nocy, wsiadam do pociągu relacji Poznań - Łódź.

JERZY MARENDZIAK

TYDZIEŃ W POLITYCE

jeń. Zwlekają też z rozpoczęciem rozmów na temat powstrzymania procesów zbrojeniowych i pokojowego rozwiązania spornych spraw, które łatwo mogą stać się źródłami konfliktów. Z zaognienia sytuacji i rosnących niebezpieczeństw zdają sobie sprawę liczne narody. I ponoszą one odpowiedzialność za to, aby zapobiec wszelkiemu awanturnictwu i nie dopuścić do powstania czegoś, czego nie można byłoby już naprawić.

Apel Rady Najwyższej i przemówienie L. Breżniewa nabierają dodatkowego znaczenia dlatego, że zbliżyła się 40 rocznica napaści Niemiec hitlerowskich na ZSRR. I właśnie ten najbardziej doświadczony wojną kraj w obliczu nowych niebezpieczeństw, które wciąż gromadzą się w świecie, aktywnie im się przeciwstawia oraz nawołuje parlamenty i narody do czynnej obrony pokoju.

Wydarzeniem imionego tygodnia jest też wejście komunistów do rządu francuskiego. Wągle tego faktu podkreśla przypomnienie, że ostatnio uczestniczyli w gabinecie w 1947 roku.

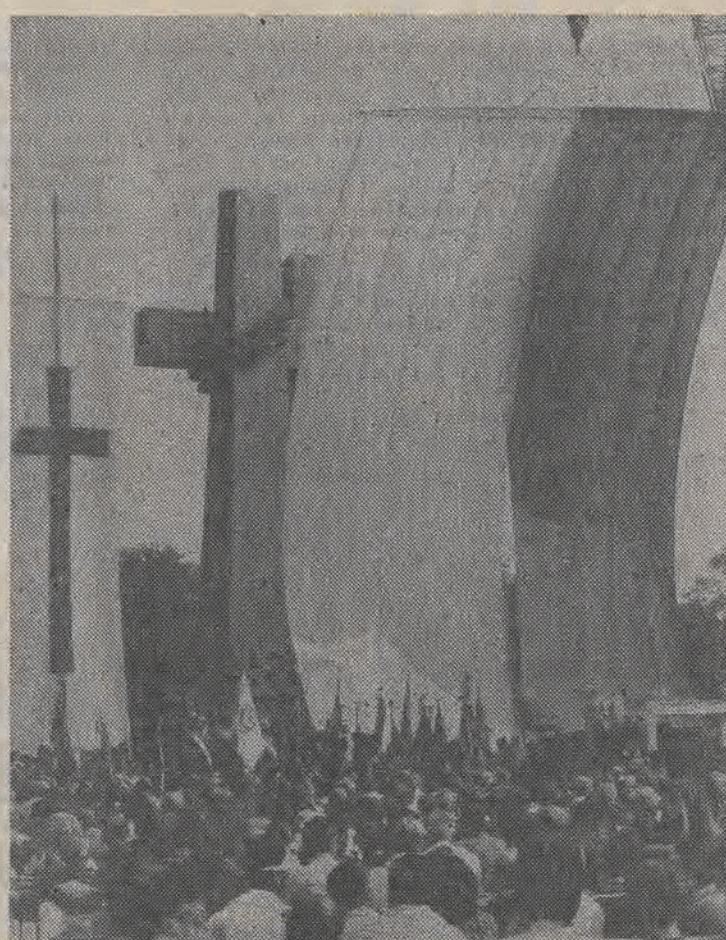
Drogo do udziału w rządzie otworzyły wybory prezy-

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASINSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BIAŁEWSKI, KONRAD FREIDRICH, MAŁGORZATA GOLICHA, JACEK INDEJAR, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOJENHOFF, GRZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHROŚCIEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJOWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMANSKI, GIANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSZYNA SARDECKA.

odgłosy



Poznań dzisiaj nie przypomina tamtego miasta. W pamięci murów — i w pamięci ludzi — od ćwierć wieku trwa przemiana naturalnego krajobrazu. Ale nie wszędzie. Na domach przy Kochanowskiego widać jeszcze ślady kul.

Ludzie też nie zapomnieli: wielka manifestacja tej zbiorowej pamięci stała się uroczystością 25 rocznicy Poznańskiego Czerwca. Prezentowany obok fotoreportaż dobrze oddaje atmosferę tych dni. Warto jednak uzupełnić go garścią refleksji.

Napisać, że uroczystości wzbudziły duże zainteresowanie — to za mało. Tych, którzy 27 i 28 czerwca 1981 r. przyszli śladem robotniczego protestu pod bramy „Cegielskiego” i na plac Mickiewicza połączyła nie tylko ciekawość, nawet nie tylko pamięć o „czarnym czwartku”. Połączyła ich potrzeba poznania prawdy o tamtym dniu i zamianowania jedności w tym dążeniu.

Myśle, że inicjatorzy uroczystości zdolali w dużym stopniu odpowiedzieć na tę potrzebę. W niespełna pół roku wybudowano pomnik, w parę miesięcy przygotowano teatralny spektakl, w dwa tygodnie wydano książkę. Zrobiono pierwszy poważny krok do odsłonięcia prawdy, również przy znacznym udziale nauki.

Obchody Poznańskiego Czerwca przypadły w dramatycznym okresie. Myśle, że wszyscy, którzy w nich uczestniczyli, mieli tego świadomość. Dlatego pewnie nie zdominowały atmosfery obchodów dyskusje „personalno-rozliczeniowe”, lecz ton narodowo-patriotycznej jedności. Było w tej manifestacji dużo akcentów religijnych. Spowodował to program i udział najwyższych dostojników kościelnych. Oczekiwano mniej skromnego udziału władz. Ale nie chodzi o to, by wprowadzać podziały. W tłumie, który zgromadził się przed pomnikiem „Jedność” byli partyjni i księża, po prostu Polacy. Myśle, że do wszystkich z podobną siłą dotarły apele Lecha Wałęsy o solidarność i jedność w obliczu prób dzielenia społeczeństwa. Myśle, że podobnie przyjęli namietne wołanie kardynała Franciszka Macharskiego pod murami „Cegielskiego” o to, by „krew polskich robotników przelana na ulicach Poznania była znakiem i wezwaniem do odważnego i odpowiedzialnego zespolenia się wokół najwyższych wartości, wokół człowieka i jego godności, wokół ojczyzny”. I jest tak, jak powiedział jeden z mówców, że poznański pomnik przestrzega przed bratobójczą walką, przed tym, by nigdy już więcej Polak nie strzelał do Polaka. Jest klamra zamykająca tragiczny rozdział naszej historii. Ale od nas już zależy czy poznańskie krzyże będą zawsze znaczyły również sprawiedliwość i pokój w braterstwie Polaków. Czy będą dzielić, czy wiązać i łączyć.



T. S.
Zdjęcia: RYSZARD ŁUCYSZYN



Dalszy ciąg ze str. 1

obrzebie gospodarki i ekonomii, polityki i życia społecznego. Tę „fin de siècle'ową” świadomość pogłębiają jeszcze płynące z różnych źródeł, rzetelne i nierzetelne, wyważone, ale i rozdmuchane i rozdęte, informacje i dezinformacje, zdające się świadczyć o potencjalnym, lub faktycznym — w zależności od interpretacji — zagrożeniu podstawowych struktur władzy państwowej oraz naszych zobowiązań sojuszników.

Dobitnym wyrazem niepokoju, którym objęte są także centralne organy partii i państwa, były spory i kontrowersje ujawnione z pełną ostrością podczas obrad XI Plenum KC PZPR. Dyskusja plenarna, łatwo do wnioskować po lekturze sprawozdań, oscylowała między dwoma biegunami. Pierwszy to kontynuacja drogi dialogu i porozumienia, przezwyciężania narodowej zapaści metodami politycznymi, drugi zaś — pokonywanie kryzysu własnymi, co prawda, siłami, ale za wszelką cenę. Oto i widok na skrzyżowanie.

Spróbujmy na chwilę odrzucić emocje, rozważmy, chłodno, zimno i logicznie konsekwencje realizacji obu tych skrajnych koncepcji. Bez ekscytacji, jak przy grze w warcaby, jakby to nie o nas chodziło.

PIERWSZA

zapowiada długotrwałą, możliwą drogę na wprost od Sierpnia, konieczność tworzenia takich uwarunkowań politycznych, społecznych i gospodarczych, w których rosnąć będą w siłę argumenty zwolenników porozumienia narodowego, maleć zaś wpływy skrajnych skrzydeł oponentów czy opozycji spod barw lewackich (?) lub prawicowych.

Niebezpieczeństwa, jakie mogą pojawić się na tej drodze, wiąże się z możliwością przechwycenia wpływów politycznych — w wypadku niezapokojenia, lub zbyt powolnego zaspokajania oczekiwań społecznych — przez jedno, ze skrzydeł. W pierwszym przypadku grozi nam nawrót do koncepcji rozwiązań własnymi siłami, ale za wszelką cenę, w drugim zaś — zakręt w prawo, w kierunku co najmniej socjaldemokratycznym, co nie mogłoby się „bejść bez dramatycznego konfliktu międzynarodowego i w efekcie musiałoby się zakończyć dramatem narodowym. W taką też stronę, warto to sobie do końca uświadomić, pchają kraj ideologiczne grupki politycznych głoszących, najogólniej rzecz biorąc, tezę o nieremowalności systemu socjalistycznego.

Warunkiem powodzenia drogi na wprost jest w pierwszym rzędzie pojawienie się owego „światła w tunelu”, o którym mówił premier Jaruzelski — a więc nadziei, że z trudem i móżdkiem, ale jednak zacznie powoli odbijać się od dna gospodarczego. Tylko owo „światło”, a więc kompleksowa reforma gospodarcza, a nie chaotyczne i powodujące większe jeszcze rozprężenie próby rozwiązania cząstkowych, daje tę szansę.

Opóźnianie prac nad reformą, z czym się stykaliśmy w ciągu ostatnich miesięcy i wręcz blokowanie jej przez skostniałych doktrynerów, a także przez dość wpływową, połączoną wąskimi, środowiskowymi interesami, lobby pewnych grup administracji państwowej i gospodarczej, prowadzi wprost do katastrofy. Brak owego „światła w tunelu”, świadomości, że kolejne wyrzucenia (bo bez nich się nie obejdzie), doprowadzą wreszcie do powolnej wspinaczki, musiałoby spowodować, już nie z żadnych powodów politycznych, ale po prostu psychologicznych i egzystencjalnych, skrajną anarchizację życia społecznego. W tę właśnie stronę pchają nas, świadomie czy nieświadomie, ale po prostu — obiektywnie, środowiska i grupy zachowawcze, u motywów działań których (lub zaniechania działań) leżą względy sztywno-doktrynalne, lub po prostu krótkowzrocznie interesowne.

Warunkiem powodzenia drogi na wprost jest konsekwentne tworzenie takiego klimatu w polityce wewnętrznej, który by uwiarygodniał przyjętą przez VI Plenum i potwierdzoną w końcu w Uchwale XI Plenum tezę o tym, iż z drogi tej nie ma odwrotu. Wiele faktów z ostatnich miesięcy, jak choćby bardzo niefortunny tryb negocjacji wokół kwestii wolnych sobót, sprawa bydgoska i perypetie z jej rozwikłaniem, lub historia rejeestracji „Solidarności” i „Więjskiej” świadczą, iż polityka porozumienia była do tej pory chybotała, z niepełnym zrozumieniem przyjmowana przez całość kierownictwa partii i rządu. Niekonsekwencje w realizacji porozumień społecznych działają na rzecz ekstremalnych sił w ruchu związkowym, w „Solidarności”, napędzają też antagonizmy międzyzwiązkowe.

Istnieje jednak i drugi, obok działań kierownictwa partii i rządu oraz ich organów na niższych szczeblach, czynnik współtworzenia lub negowania klimatu porozumienia. Jest nim układ sił w ruchu związkowym,

różny w centrach związkowej, różny w poszczególnych regionach. Powyżej była mowa o sytuacjach, które powodują wzmacnianie sił ekstremalnych, tu trzeba powiedzieć o samych tych siłach. Nie składają się na nie wyłącznie świadomi i zdeterminowani działacze KSS „KOR” (są to ostatecznie grupy bardzo wąskie) oraz ludzie pozostający pod wpływem ale niekoniecznie przywiązani całą ich platformę polityczną, lecz również — ludzie, którzy wchodzą do „Solidarności” powodowani nie piękną ideą solidarności robotniczej, pracowniczej, lecz chęcią wybić się w innym układzie, opanowaniu żądzą władzy, chęcią odegrania się za faktyczne, czy też subiektywnie odczuwane

obywatelskie wspomnienie władzy państwowej, bezradnej wobec tego typu zjawisk, jakie zaistniały w Ołtoku. Fakt inny. Nie tak dawno czytaliśmy informację PAP, mówiącą o tym, że nieznanymi sprawcy zdemolowali tablicę i obelisk na mogile... 13 więźniów zamordowanych przez hitlerowców w Mikołowie. Kogóż by taka wiadomość nie zbulwersowała? Tymczasem, co się jednak okazuje. Oto miejscowe władze zleciły renowację tablicy i obelisku, a kiedy rzemieślnik je rozebrał, przygotowując do remontu, Polska Agencja Prasowa otrzymała wiadomość o dewastacji.

Z niepokojem i oburzeniem ołbrzymią większość społeczeństwa przy-

razem inne, na powierzchnię wydobywały się różne składniki głębokiego nurtu, źródło jednak, które próbowało wybić się na powierzchnię, było to samo. Źródłem tym jest mocno zakorzeniona i mocno umotywowana świadomość, że do socjalizmu możemy kroczyć nie żadną inną, ale tylko własną, polską drogą. I właśnie nierozumienie tego, posługiwanie się tym określeniem jako okolicznościowym hasłem, błędnym w miarę odchodzenia od kulminacyjnych punktów naszej powojennej historii, stało się przyczyną kolejnych kryzysów.

Każda inna droga, niezgodna z naszą świadomością historyczną, z doświadczeniami polskiej lewicy, polskiego ruchu robotniczego, będzie

Rozliczać więc trzeba przede wszystkim twórców takiego systemu i tych, którzy, poza jego twórcami, świadomie z niego korzystali. To jest absolutnie słuszne i absolutnie konieczne.

Tymczasem jednak fala rozliczeń rozlewa się bardzo szeroko i — śmiem powiedzieć — w bardzo wielu przypadkach niesprawiedliwie. Tkwiłszy w systemie, który korpował całe społeczeństwo. Nie ma się co okłamywać. W różnej odcieniu skali i na różnych zasadach wszyscyśmy byli wewnątrz wprzęgnięci. Różnice polegały, według mnie, na tym, że jedni w takim systemie chcieli żyć, bo był on dla nich wygodny, drudzy zaś musieli żyć, bo był on narzucony i nie było od niego do pewnego czasu — do Sierpnia — odwolania. Aż tu nagle teraz wyrosły nam całe armie światłobliwych, sprawiedliwych mężów, którzy rozdają razy na oślep, na prawo i na lewo. Przynam, że podejrzliwie patrzę na takich szalenie pryncypialnych hunwejbliwów odnowy. Gdzież oni byli przedtem? Czyż gwałtownością swoich ataków na Boga ducha niekiedy winnych ludzi, nie pokrywają własnych ze sobą rozliczeń? To dość zrozumiałe i znany mechanizm psychologiczny.

Mechanizm ten jest o tyle zrozumiały, o ile i niebezpieczny. Powoduje on, że atakowani są, bardzo często po równi i twórcy, i ofiary systemu. Chciałbym zobaczyć te tabuny sprawiedliwych, którzy nigdy nie skorzystali z protekcji, nigdy nikomu nie wręczyli łapówki, lub hm... upominku, nigdy sobie niczego nie załatwili spod lada. Może, w kraju, znalazłoby się kilku takich. Pojedynczych. Ale oni teraz nie krzyczą. Są spokojniejsi, skromniejsi, godniejsi.

System rozliczania na lewo i prawo powoduje, że po drugiej stronie gromadzi się niema, jak na razie, armia ludzi niepowinnych swego losu. Na rzecz zaciąg do tej armii działają wszyscy ci, którzy próbują odgrzewać i podsycać nastroje antyinteligentne, antychłopskie czy też szowinistyczne. Jest to armia, która zaczyna patrzeć na odnowę koso, bo czuje w niej szwindel, nagonkę, niesprawiedliwość. Równie, trzeba to ryć dostrzec, aby umieć przeciwdziałać, dość szeroka opozycja ludzi, którzy z różnych względów będąc i czując się ofiarami starego systemu, obawiają się, że będą ofiarami także odnowy. I to właśnie jest niebezpieczne, a i nie taktyczne — tworzenie przeciwników z autentycznych lub potencjalnych zwolenników. Wynika ono z niezrozumienia istoty tego, co się w naszym kraju dzieło przed Sierpniem.

O ile więc jestem za stanowczym i konsekwentnym rozliczaniem twórców starego systemu i tych, którzy z niego korzystali, o tyle jestem przeciwny traktowaniu na równi z nimi wszystkich tych, którzy musieli dostosować się do systemu, bo inaczej nie można było funkcjonować, pracować, działać, żyć. Rychło bowiem musieliśmy zacząć rozliczać wszystkich nas, a także tych, którzy dzisiaj załatwiają sobie (coż, że skala inna) papierosa, wódkę, lekarstwa, czasem jakieś mięso bez kolejki. Robią to i ci rzekomi święci meżowie... Czy czują się winnymi? Nie, teraz to oni powiedzą — no, coż, takie jest życie...

Jeśli już mowa o rozliczeniach, to wejście na prostą nie może się obejść bez rozliczenia się partii samej z sobą, bez przyznania społeczeństwu, że nie ono jest winne błędom systemowym, które zepchnęły kraj na rozstaje. Także i to jest potrzebne dla odzyskania wiarygodności przez partię. Nie chodzi tu o samobiczowanie, lecz o szczerą, męską postawienie sprawy. Bez takiej szczerości niczego się nie zwojuje. Trzeba także przyznać, że jeśli dziś mówimy o chaosie i anarchii, to podstawą tegoż chaosu i anarchii budowane były w całym dziesięcioleciu gospodarowaniem wbrew zdrowej logice; marnując dorobek Polski Ludowej sążono, że nie zbilansowane plany uratuje się żonglerką priorytetami, obietnicami bez pokrycia, mnożeniem partykularnych, resortowych praw, wreszcie świadomym okłamywaniem opinii publicznej.

Takie to miały być remedia, podczas gdy w szufladach biurów prominentów gromadziły się setki ekspertyz, wykonywanych niekoniecznie nie przez oficjalnych ekspertów, mówiących o faktycznym stanie kraju i o środkach zaradczych. Sięgnięto po nie, i to nie bez oporów, dopiero teraz, po Sierpniu.

Przyznanie się do błędów — bez uników — i zganiecia na nieistniejącego kolegę, da nadzieję, że błędy dostrzeżone — zostaną naprawione. I to będzie także element wiarygodności partii, gwarancji, że może się ona stać główną siłą odnowy.

JERZY KATARASIŃSKI

Artykuł oparty o wystąpienie wygłoszone podczas XXII Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR w Łodzi, 22 czerwca.

SKRZYŻOWANIE

krzywdy, wreszcie, co tu dużo mówić, także rozmaici dewianci. Spoglądając na historię podobnych ruchów, nie można też wykluczać istnienia wśród nich również po prostu prowokatorów.

Gdybyśmy byli w innej ogólnej sytuacji politycznej i gospodarczej, można byłoby na te ekstremy patrzeć spokojnie. Po pewnym czasie, zapewne, podstawowy, zdrowy nurt ruchu sam by je wykruszył. Jednakże dziś, gdy skrzyżowanie może się okazać bliskie, nieodpowiedzialne i buńczuczne wystąpienia, prowokacyjne enuncjacje, są zbyt niebezpieczne, aby „Solidarność” w swej masie mogła patrzeć na nie spokojnie, czekając, aż rogi same się zetrą. Prowokacje ekstremistów, bo tak trzeba określić ich obiektywną wymowę, poza wszystkim innym złem, jakie wyrządzają, działają także na rzecz tych wewnętrznych i zewnętrznych sił politycznych, które mówią o konieczności rozwiązania naszej sytuacji za wszelką cenę. Pozwalają też im, w skrajnych przypadkach, dopisywać ryczałkiem odpowiedzialność „Solidarności” za wszelkie inne, także anarchizacyjne, czy też po prostu lumpowskie zło, wypływające z całkiem innych uwarunkowań społecznych — jednym słowem określać nawet fakt istnienia „Solidarności” jako źródło zagrożenia dla ustroju.

Nie da się też, jeśli mamy wyjść na prostą, nie namawiać „Solidarności” i w ogóle całego ruchu związkowego, do czynnego włączenia się w realizację reformy gospodarczej, współdziałania z radami pracowniczymi, do działań na rzecz odzwyczajania etyki pracowniczej. Nie wchodząc teraz w generalną dyskusję na temat, czy związki zawodowe mają być także współgospodarzem w zakładach pracy, czy tylko obrońcą praw pracowniczych, dzisiaj po prostu nie wybrniemy z grzęzawiska, w jakim się znaleźliśmy, bez solidarnego współdziałania w odbudowie gospodarki, kraju, społeczeństwa, wszelkich, jakie tylko są do wykorzystania, sił społecznych. Warunki, w jakich żyjemy, dadzą się określić jako frontowe; w takiej sytuacji dystansowanie się wobec spraw dla kraju najważniejszych byłoby bliskie dezercji.

Tak by wyglądała, wcale nie prosta, droga do prostej i po prostej.

DRUGA

koncepcja, realna, czy też tylko hipotetyczna, której źródłem jest niewiara w rezultaty polityki dialogu i porozumienia (odrzućmy w końcu przez Uchwałę XI Plenum), mówiąca o tym, że kryzys trzeba przezwyciężyć za wszelką cenę, może w pewnym momencie zwyciężyć albo w wyniku błędnej oceny sytuacji, albo też na skutek wytworzenia się rzeczywistego zagrożenia ustroju socjalistycznego.

Niesłuchanie więc istotną kwestią jest ocena realnej sytuacji w każdym jej momencie czasowym. Pewne elementy zagrożenia istnieją realnie. Należy do nich systematyczne pogłębianie się trudności rynkowych, a także działalność sił ekstremalnych. Równocześnie jednak na wielu przykładach wykazać można, iż kursujące w opinii publicznej, w pewnych enuncjacjach prasowych, a także dokumentach różnych zgromadzeń, niektóre opinie o faktach i zdarzeniach z rzeczywistością nie mają nic wspólnego. Niektóre są dementowane, inne nie. Dla przykładu — fakt utworzenia przez „Solidarność” w trakcie wydarzeń otwoczkich straży porządkowej potraktowany został w deklaracji Katowickiego Forum Partyjnego jako argument mający świadczyć o tworzeniu systemu dwuwładzy. Tymczasem nie bliźnięszego. Było to po prostu

muje prowokacje antyrządzieckie, czynne haniebnie i głupie. Niepokoi jednak i druga strona tej sprawy. Oto zadawane są pytania — dlaczego nie ujęto jak do tej pory (albo też nie podano do publicznej wiadomości faktu ujęcia) żadnego ze sprawców dewastacji grobów żołnierzy radzieckich i pomników przyjaźni?

Brak w takich przypadkach efektów działań organów porządku publicznego działa na rzecz tych sił, które chcą poddawać w wątpliwość ich wiarygodność i praworządność.

Tworzenie faktów pozornych, przekłamywanie interpretacji faktów rzeczywiście zaistniałych może być spowodowane niesprawnością systemu gromadzenia informacji, może się wiązać z niesprawnością samego systemu obiegu informacji, ale też — nie da się tego wykluczyć, może być w pewnych wypadkach działaniem celowym.

Czas, w jakim żyjemy, charakteryzujący się rozprężeniem gospodarczym i żywą działalnością skrajnie ekstremalnych, wywołuje jak mi się wydaje, potrzebę utworzenia pogotowia zjazdowego, które by wspomagało te wysiłki organów państwa, które zmierzają do opanowania biegu wydarzeń środkami zgodnymi z duchem porozumień społecznych, działających na rzecz wzmożenia ładu i porządku, przeciwdziałających sprawnie — a więc szybko i skutecznie — próbom prowokacji. Od skonsolidowanej, zwartej podstawy członków partii zależeć będzie powodzenie zjazdu, a więc i przyszłość kraju.

Dotychczas mowa była w tym punkcie o zagrożeniu procesu odnowy płynącym z możliwości błędnej oceny sytuacji. Pojawie się jednak może również zagrożenie rzeczywiste. Wystąpić ono może np., ale i przede wszystkim wtedy, kiedy gospodarka, na skutek błędnych rozwiązań reformy, lub też niepomysłnego przebiegu jej realizacji, stoczy się w stan entropii, samowypaśnięcia, samounicestwienia. Groźba taka wcale nie jest ponurym wyśnięciem futurologicznym; może wystąpić, jeśli nie zostaną przedsięwzięte dostatecznie szybko i przy powszechnej akceptacji społecznej skuteczne środki, które zastopują spadek produkcji zwłaszcza środków żywnościowych, produkcji innych dóbr konsumpcyjnych, energii, a także tych działań gospodarki, od których zależy nasz eksport. Przewidywać można, że w takim przypadku kompletna już dezorganizacja struktur państwa, a co za tym idzie — anarchizacja życia społecznego zagrozi nam nieuchronnie. Wtedy zaś użycie wszelkich środków, łącznie z użyciem siły, własnej lub i zewnętrznej, może się okazać niezbędne. Polonocentrystom rzucam tu pod rozwagę gorzkie przewidywanie: nie wykluczone, że świat odetchnąłby wtedy z ulgą.

GLEBOKIE ŹRÓDŁA

Może się okazać niezbędne... Ale czy i skuteczne — na dłuższą metę? Nie. Moim zdaniem, nie. Może ono opanować sytuację doraźnie, przez to jednak, że uderzy w skutki, a nie w przyczyny, będzie musiało w dalszej przyszłości wywołać efekty bumerangowe czy rezonansowe, podobne do tych, jakie wywoływały zostały powierzchownym rozwiązywaniem konfliktów wywołujących wydarzenia lat 1948, 1956, 1968, 1970, 1976. Powierzchniowo, bo nie sięgającym do głębokiego ich źródła — źródła o charakterze politycznym. Jego erupcje były za każdym

odrzućmy. Tak to moim zdaniem wygląda, taki jest mój pogląd i znów — moim zdaniem — jeśli tego do końca nie wyartykułujemy i jeśli nie rozumiemy tego dostatecznie głęboko nasi przyjaciele, nasze konflikty wewnętrzne, obracające się nie tylko przeciwko Polsce, ale i w ostatecznym rachunku także przeciwko całemu obozowi socjalistycznemu, będą się powtarzać. Będą musiały się powtarzać.

Zatem — jak z tego wynika — zaakceptowanie polskiej drogi do socjalizmu, wyróżniającej się m. in. odrębnością koncepcji sprawowania władzy, odrębnością rozwiązań społeczno-gospodarczych (zwłaszcza na wsł), mieści się w dobrze rozumianym interesie wspólnoty socjalistycznej. Tylko po tej drodze idąc, Polska może być silnym ogniwem obozu socjalistycznego. Odrębności te bowiem wynikają z naszej historii politycznej, ale i społeczno-gospodarczej (i biorącej się z niej mentalności), z naszych realiów. Zniszczyć te odrębności — to zniszczyć naród. Znacznie korzystniej jest — i to jedyne wyjście — odrębności te tworzyć wykorzystując.

I to jest też ta droga na wprost do Sierpnia.

REALIA

Jak na razie jednak, żyjemy w rzeczywistości ubogiej, sierniej. Tak ubogiej i tak sierniej, że dziwne może się wydawać mówienie o jakiejś tam polskiej drodze, skoro, jak na razie, grzeźniemy gdzieś na rozstajach. Tak ubogiej i tak sierniej, iż można podziwiać opanowanie i cierpliwość społeczeństwa, znoszącego codziennie — już wielomiesięczne — trudy życia, z samozaparciem, godnością i wiarą, że wyjdziemy z rozstajów i wejdziemy na naszą drogę. Nie powinniśmy nam przesłonić tego obrazu incydenty, jak do tej pory, biorąc pod uwagę makroskalę — skalę kraju i skalę trudności, w sumie jednak jeszcze marginalne. Niepokoją one i powinny niepokoić — to rozumiem. Tak jednak żyć, w takich potwornych warunkach może społeczeństwo, naród, głęboko świadomy swojej tożsamości i pełen wiary w przyszłość. W wielu innych krajach, o wyższym nawet — w przedkryzysowym stanie — stopniu rozwoju, o wyższym stopniu organizacji, sytuacja taka dawno już musiałaby wywołać o wiele większe komplikacje społeczne.

Istnieje jednak próg, którego dla bezpieczeństwa kraju nie można przekroczyć. Tym progiem jest właśnie wiara, że ponoszone trudy nie pójdą na marne, że w końcu kiedyś zaowocują. Tym progiem jest także przekonanie, że winnym tego, co się u nas stało, winnym kryzysu, nie ujdzie to bezkarnie. Nie chodzi tu o akt zemsty, lecz o sprawiedliwość i przestrożę. Z przestrogi powinno wynikać z jednej strony takie strukturalne zabezpieczenie systemu działania władzy, aby nigdy już ona nie mogła istnieć ponad społeczeństwem, stać się groźnym dla społecznego zdrowia pasożytem, z drugiej zaś — utworzenie, w oparciu o zasady demokratyczne, takiego systemu awansu społecznego i zawodowego, który nie gubiłby diamentów i nie przepuszczał mierzwy.

Świadomość konieczności dokonywania rozliczeń, politycznych i prawnych, jest w społeczeństwie ugruntowana bardzo głęboko. W parze z nią nie idzie jednak świadomość, iż nadużywa władzy, korupcja, nepotyzm itd., możliwe były tylko dzięki rozpanoszeniu się systemu władzy, którego twórcy, świadomie z niego korzystający, występowali w roli bezmała pomazanych boskich, nie podlegających kontroli ludzkiej.

Mimo niezaprzecznego wkładu chłopów w budowę socjalizmu, nie mieli oni poczucia stabilności ani gwarancji trwałości stanu posiadania swych warsztatów pracy. Tylko kryzysy w latach 1956-1970 i 1980, połączone z widmem głodu, uchroniły gospodarstwa indywidualne przed unicestwieniem. W ostatnich kilku latach następował wyraźny spadek aktywności produkcyjnej gospodarstw chłopskich. Stało się to m. in. z tej przyczyny, że chłop pozostał na wsi zupełnie sam. Sam na sam z nadmiernie rozbudowanym aparatem biurokracji. Ponieważ chłop nie miał kto bronić, administracja nie musiała się z nim liczyć. Na wsi zabrakło węgla, maszyn, nawozów, materiałów budowlanych, a także niezbędnych artykułów codziennego użytku. Bałagan i marnotrawstwo w aparacie skupu, sobiepaństwo, beżmyślność i łapówkarstwo urzędników na różnych poziomach, zniechęcały rolników do pracy. Z winy administracji poważna część produkcji rolniczej nie docierała na rynek.

Na wsi zabrakło siły, która by się przeciwstawiła rosnącemu tworzeniu instytucji SKR, grzebiącej działalność chłopskich kółek rolniczych. Nie miał kto bronić młodzieży wiejskiej, którą pozbawiono własnej organizacji, włączając ją ogólnie do ZSMP. Nikt nie powstrzymał władz przed odsuwaniem oświaty od zagrod chłopskich. Dzieci wiejskie marzyły i mokły, skazane na długie, uciążliwe wędrówki do gminnych szkół zbiorczych.

Narastał gniew chłopski, potęgowały się rozgoryczenie i niewiara w działalność administracji terenowej, która dla chłopów była problemem obowiązków i praw. Ale ludzie odpowiedzialni za reprezentację interesów wsi jak gdyby zapomnieli o starej, głoszonej przez Lenina prawdzie: „Siła napędowa historii jest wzrastająca niezadowolona masa i zaślepienie klasy rządzącej”.

Śmiem twierdzić, że za rozkład gospodarki rolnej w minionym dziesięcioleciu, za ograniczenie demokracji i poniżanie chłopstwa nie należy winić jedynie ówczesnego kierownictwa PZPR. Przywódcy ZSL akceptowali bezwzględnie błędy popełniane przez kierownictwo PZPR, podejmowali wiele krótkowzrostnych, krzywdzących wódz deklaracji i odchodzili od statutu, doprowadzając ruch ludowy do marazmu i stagnacji, do obumarcia podstawowych struktur. Czynie tak, chociaż nikt ich do tego nie zmuszał.

Czyżby dawne kierownictwo ZSL było aż tak wyjątkowo nieudolne, pozbawione wyobraźni politycznej? Czy rzeczywiście utraciło całkowicie świadomość sensu swego powołania? Obawiam się, że zdecydowała chęć wygodnego życia i czerpania profitów. Po prostu wygodnie było istnieć jako „przystawka”, jako coś w rodzaju ozdoby retorycznej, który miał świadczyć, iż kultywuje się tradycję sojuszu robotniczo-chłopskiego. A jak było trochę niżej? Stanowiska na szczeblu wojewódzkim ZSL obsadzano „z klucza”, ludźmi bez kompetencji bez pasji działania, nie rozumiejącymi chłopów i problemów wsi. Jeżeli ci działacze dostali gabinety z sekretarkami, służbowe czarne wozy, wysokie pensje, mandaty poselskie i mieszkanie, to z wdzięczności wykonywali każdy rozkaz napływający z Warszawy.

Zaglądał do gmin, miałem możliwość dokonywania pewnych porównań. Pierwszy sekretarz KC partii miał do pomocy kilku etatowych pomocników: sekretarza rolnego, dyrektora ośrodka kultury i propagandy, instruktora i sekretarke. Gminne komitety ZSL miały tabliczki na drzwiach, za którymi nikt nie urzędował, bo funkcje w zasadzie pełniono społecznie. Ale miały też świetlicy, energicznych działaczy: nauczycieli wiejskich, weterynarzy, agronomów, inżynierów, lekarzy, mechaników rolnictwa, zootechników. Terenowi działacze byli najbliżsi ziemi, mieli świadomość, że ZSL ponosi współodpowiedzialność za wiodący do katastrofy kryzys gospodarczy, polityczny, społeczny i moralny. I protestowali. Był to jednak głos wołający na puszczy. Widząc, że władze

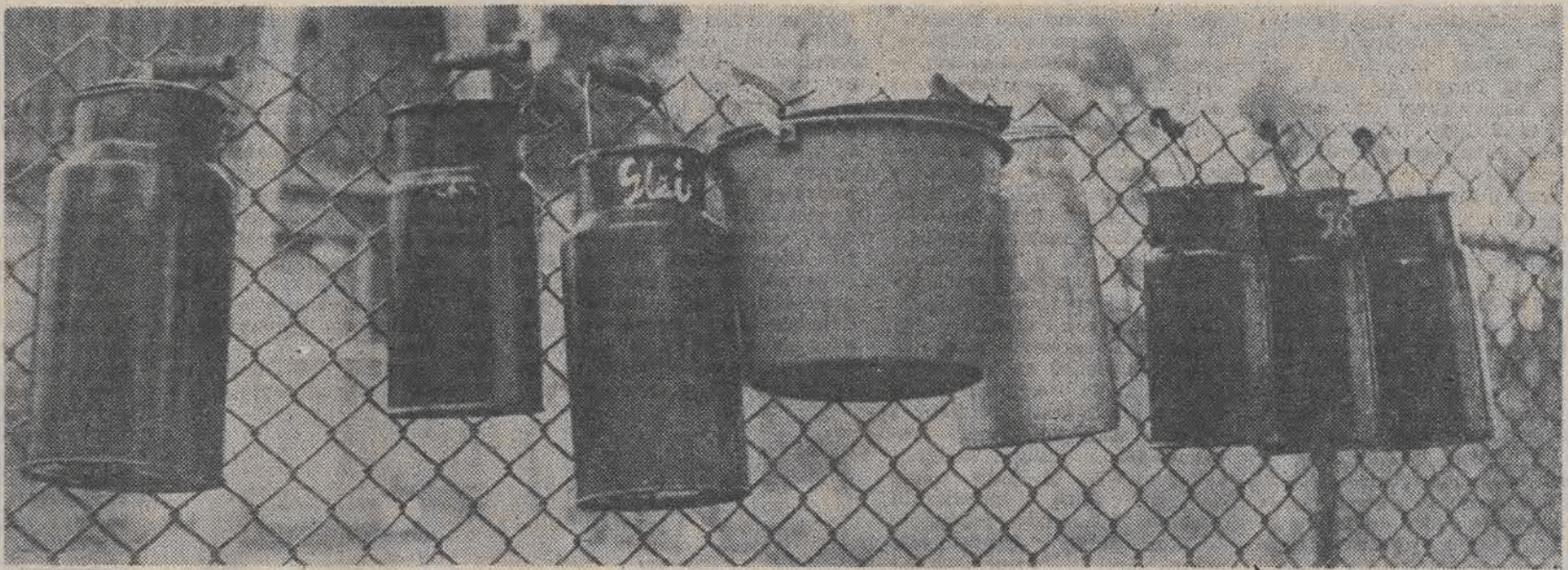


Foto: R. Łucyszyn

naczelne ZSL świadomie przyczyniają się do upośledzenia sektora chłopskiego oraz likwidacji samorządu wiejskiego, ludzie ci popadli w apatię i rozgoryczenie. Tym bardziej, że Naczelny Komitet nie reagował na głosy protestu przeciwko chłopskiej krzywdzie. Co najwyżej wykluczał „przykaczy” ze swych szeregów.

Po wstrząsie sierpniowym mówiono i pisano szeroko o upadku zaufania do PZPR, o zdawaniu przez robotników legitymacji partyjnych.

„Ale wówczas odezwali się „doli”. „Zieloni” podnieśli z godnością głowę, bo tam, we wsiach i gminach, nie mieli się czego wstydić. Mogli się wreszcie otrząsnąć, stworzyć oddolny proces postępowych przemian. Do NK ZSL popłynęły sygnały ostrzegawcze. Mnożyły się apele i odezwy, składano setki postulatów i memoriałów. Wskazywano, że zamiast posługiwać się sloganami, pustymi frazesami, deklaracjami bez pokrycia, należy stworzyć program działania, w

zrobiła dla wsi prezes WK ZSL, Felicjana Lesińska? Ile razy jako poseł wystąpiła w obronie chłopów? Bo w Sejmie jej nie widziano, nawet w czasach odnowy. Wojewódzki aktyw ZSL zażądał zwołania plenum i ustąpienia starych władz.

I w tym miejscu, jako bezpartyjny obserwator zebrał i narad w różnych środowiskach, muszę uczciwie przyznać, iż demokratyzacja najmocniej przejawiała się w PZPR. Po pierwsze KL PZPR dokonał zmian kadrowych i obrał nowy kurs już w roku ubiegłym. Po drugie plenum KL są w zasadzie otwarte, uczestniczą w nich zaproszeni goście i dziennikarze. Tymczasem w ZSL spotkała mnie niemiła przygoda. Sekretarz WK, Ludwik Kempa, poinformował mnie uprzejmie przez telefon, że plenum odbędzie się między 10 a 15 czerwca. (Aktyw żądał zwołania plenum do 5 czerwca). Kiedy 9 czerwca zadzwoniłem pod numer prezesa WK, mężczyzna, który się nie przedstawił, oświadczył, że plenum ma charakter zamknięty, nie przewiduje się żadnych zaproszeń i nikt nie życzy sobie dziennikarzy.

Taka dulszczyzna była dla mnie niezrozumiała. Czyżby w WK narosło aż tyle brudów, że trzeba je było prać we własnych ścianach? Przecież z góry było wiadomo, że wstanie prezes Lesińska i w imieniu własnym oraz Prezydium poda się do dymisji.

I tak się stało. 11 czerwca, w tajnym głosowaniu nowym prezesem wybrano Jerzego Chojnackiego, dyrektora Zespołu Szkół Rolniczych w Bratoszewicach.

Najważniejsze jednak jest to, iż plenum zobowiązało władze do pilnego wsłuchiwania się w głos każdego chłopca, do utrzymywania ścisłej więzi ze wsią. Plenum stwierdziło jednoznacznie, że za kryzys w Polsce odpowiedzialność ponoszą także władze naczelne Stronnictwa. Specjalnie powołana komisja ma się zająć oceną byłego naczelnego kierownictwa ZSL, a dokona tego na nadzwyczajnym kongresie, którego zwołania domaga się cały kraj.

Nie powinno nikogo dziwić, że w obecnej sytuacji Prezydium NK ZSL tak zdecydowanie poparło uchwały XI Plenum KC PZPR. „Zieloni” nie zamierzają być tylko cieniem w walce o wyjście z kryzysu; chcą być autentycznym partnerem PZPR w dziele odnowy. W interesie nas wszystkich leży, aby pół miliona członków ZSL tworzyło silną partię chłopską. Bo jeśli ta partia będzie czynić dobro dla wsi, to i nam wszystkim będzie dobrze: na końcu tunelu pojawi się nie tylko światło, ale i bochen chleba do podziału.

RYSZARD BINKOWSKI

ZIELONI PODNOSZĄ GŁOWY

Przemierzano natomiast bardzo dyskretnie fakt, że w czasie chłopskich strajków rolnicy zaczęli oddawać legitymacje ZSL. Samodzielność Stronnictwa była dla nich coraz wątpliwsza, poczuli się zdradzeni przez własną chłopską partię, która nie tylko popierała dotąd błędną politykę rolną, ale obecnie, w najcięższej chwili, z własnej inicjatywy tłumila rozlegające się na wsi głosy protestu.

Powiedzmy wprost: tuż po Sierpniu PZPR potrafiła stanąć na wysokości zadania. Nie obwiniając stronnictw sojuszników wzięła na swe barki odpowiedzialność za kryzys. Nie czekając na zarząd zaczęła powoli, aczkolwiek systematycznie i coraz głębiej, oczyszczać swe szeregi z ludzi skompromitowanych. A co robi NK ZSL? Ażeby, broń Boże, sytuacja nie „dojrzała”, pociągnąć zwołując VIII Kongres. Była burza, ogromny ferment, żarliwa dyskusja, namięta krytyka działania władz naczelnych, lecz mimo to stolki zostały zachowane. Zdecydowały o tym m. in. narzucony regulamin wyborów, odpowiednie naciski na część delegatów, naruszenie demokracji wewnątrzpartyjnej. Nie nastąpiły zmiany personalne, w Stronnictwie nie zaznaczył się proces odnowy o jakimś głębszym charakterze. Okazało się, że NK ZSL utracił więź z chłopami, a programowe hasła racu ludowego — postęp i demokracja — wciąż pozostały na papierze. A najsmutniejsze, że taka „odnowa” przetrwała się na część WK ZSL, trafiając także do Łodzi.

którym na trwałe zaznaczy się rola Stronnictwa, w którym będzie miejsce dla autentycznej demokracji, dla sprawiedliwości, poszanowania prawa i chłopskiej godności. Domagano się znacznej wymiany kadry i stworzenia trwałych zabezpieczeń przed możliwością ponownych wynaturzeń.

„Szczyt” milczał jak zaklęty, zasklepiony w skorupie bezduszności, potężnie obwarowany na przywódczych pozycjach.

PZPR wykluczyła ze swych szeregów b. premiera Jaroszewicza, jako jednego z głównych sprawców kryzysu. Zrodziło się pytanie: Czy prezes Stanisław Gucwa, odpowiedzialny za sprawy wsi, kierujący przez lata jako marszałek pracą Sejmu, który był trybunałem „niemym”, zatwierdzającym błędne decyzje, nie ponosi tej samej winy, co inni decydenci? Plenum WK ZSL w Tarnowie poinformowało o zebraniu 12 tysięcy podpisów wyborców pod wotum nieufności dla posła ziemi tarnowskiej, Stanisława Gucwy.

Pod naciskiem szerokich rzesz członkowskich ustąpiło Prezydium NK ZSL i odszedł prezes Gucwa.

W województwie miejskim łódzkim rolnictwo boryka się z trudnościami. Albo brakuje wody, albo jest jej nadmiar, bo nie ma melioracji. Ziemia liche, płaszczyste, rozdrobnione, niedostatek maszyn i nawozów; część gruntów w rękach SKR, sporo ziemi zagrożonej przez przemysł. Chłopi zaczęli sobie zadawać pytania. Co

między innymi poszanowania prawa do cudzej inności spojrzenia. Tymczasem, kiedy nie staje rzeczowych argumentów i solidnych analiz, zaczyna się ludzkie z różnych stron barykad obrzucać ciężkimi pomówieniami i wyzyskami. Jakże głęboko nietolerancja jest przeciwstawieniem my — oni. Oni wszystkiemu winni, my, niewinne baranki ofiary bezwolne. Zwróćmy uwagę, jak częste jest zjawisko umiejscawiania winy za zło w bliżej nie określonych rejonach. Każdy zapytany był w „minionym okresie” uczciwy, zdyscyplinowany i chciał dobrze. No to skąd na miłość boską wyległo się tylu złodziei, defraudantów? Dlaczego mogła rozkwitać radosna twórczość głupoty?

Mądre przysłowie mówi, że okazja czyni złodzieja. Ta okazja była i zawsze jest idiotycznie rozumiana tolerancja, a raczej obojętność i tchórzostwo. Milczenie przyzwalało, ugruntowywało poczucie bezkarności. Ilu było odważnych, by pokazać palcem złodzieja? Dziś, jak jeden mąż, wywołuje chęć na taczach kogo się da. Okazuje się więc, że tolerancja blisko ociera się o przeciwstawne sobie pojęcia obojętności, bierności. Zdecydowanie nie tolerujemy jedynie przymusu wynikłego z konieczności, którą rozumiemy niemal jak zamach na swe interesy, na swoją niezależność osobistą i zbiorową.

Jeszcze bardziej ponurym symbolem naszej szumnie głoszonej tolerancji jest głęboka miłość objawiana ludziom sukcesu, szczęściarzom, którym się udało. Człowiek nieprzeciętny, zdolny, operatywny w pracy, z pomysłami, ma jak w banku zagwarantowaną wojnę podjazdową, oddawaną przysłówowej „świnii”, stugębne plotki, oraz inne dowody przestępczego przykazywania „miłuj bliź-

nego swego, jak siebie samego”. Zgadza się. Oprócz wypadku, gdy ów bliźni jest lepszy, gorzej nad równym szeregiem przeciwnych. Ileż można przytoczyć przykładów zaszczucia, wymanewrowania, czy po prostu ludzkiej krzywdy. Niech starczy ohydny casus „Groszkowski contra Petrys”. Ofiary, bronić się mogą czasem tylko stwierdzeniem, że wyłącznie miernoty nie mają wrogów. Takie fakty nie burzą jednak naszego, pewnego siebie dobrego samopoczucia.

A nasz stosunek do ludzi „ze świecznika”? Toż to sama esencja kultury. Nie ma to nic wspólnego z pożądanym patrzaniem władzy na ręce, boć nie tylko władza doświadcza pomówień, paszkwilów, potwarzy. Wiadomo, wieść kościoła widać z daleka. Rację miał mądry Wańkowicz upatrując w bezinteresownej zawiści główny trzon stosunków międzyludzkich, w społeczeństwie polskim.

Obserwując przebieg wydarzeń sierpniowych, skłaniam się do twierdzenia, że ta właśnie cecha stanowi już i stanowić będzie jutro jedną z poważniejszych barier w rozwoju naszych i działań demokratycznych w powszechnym wymiarze. Zdarzyć się może, iż zbyt ofensywny krzewiciel demokratycznej edukacji narodowej, natknął się w pewnym momencie na barierę zawiści; społeczeństwo nie lubi Torquemadów, ale jeszcze bardziej nie znosi bohaterów pozytywnych. Taki jest zawsze podejrzany, bo pewnie ma w tym, że taki bez skazy, jakiś swój clemny interes. W sytuacji krytycznej wzmacniają się ekstremalne postawy na skrzydłach, natomiast niebezpieczeństwo obsuwa się środek, czyli przeciętny poziom aktywności obywatelskiej. Bo to nieprawda, że całe spo-

łeczeństwo en bloc, zabrało się do dzieła odnowy. Aktywne są wyjątki, nie enkliwy, a większość pozostaje bierna i nie wychodzi poza „światopogląd żołądkowy”.

Tu dochodzimy do zagadnienia granicy tolerancji. Jest to granica między tolerancją a obojętnością; granica płynna i łatwo przekraczalna. Sądzę, iż mamy do czynienia z paradoksem o zasadniczym znaczeniu. Oto z jednej strony przejawy przedstawionej wyżej nietolerancji, że tak powiem „wartościowej” (tzn. w stosunku do poglądów, ocen, czy cech bezdyskusyjnie należnych do prawa jednostki, prawa wymagającego poszanowania). Z drugiej strony, groźna społecznie tolerancja, czy raczej obojętność wobec wynaturzeń, czy postaw społecznych. Obojętność jest oczywistą pożywką dla głupoty. Stąd ta fala antyradzieckich wystąpień, stąd gleba dla „rycerzy grunwaldzkich”. Z tego źródła rodzą się najbardziej niemożliwe do wyobrażenia pomysły i teorie.

Owa dwoistość myślenia zbiorowego ciągle nie poddaje się żadnym analizom. Zatem tolerancja jako cecha i postawa społecznie pożądana, musi być warunkiem i funkcją aktywności obywatelskiej. Aktywność ta winna się wyrażać we wpływanu na kształt stosunków społecznych oraz na treści funkcjonujące w świadomości zbiorowej. Najkrócej mówiąc, społecznie aprobowany może być tylko jeden rodzaj nietolerancji. Nietolerancji dla głupoty. Tymczasem stan wrzenia świadomości w jakim znajduje się nadal Polska, nie sprzyja niesfety powszechności postaw tolerancyjnych. Przedłużanie się kryzysu wzmacnia obojętność i nie można się usypiać emfaticznymi zapewnieniami o wysokiej kulturze politycznej społeczeństwa.

ODGŁOSY 5

JOLANTA WRONKA

Po drodze do demokracji (2)

DZIURA WA TOLERANCJA

nujemy i nie pozwolimy komuś się wychylić zanadto. Wezle nie jesteśmy tolerancyjni. Ani dla siebie wzajem, ani dla obcych (zwłaszcza tych, co niebacznie nas krytykują). Tolerancja — najkrócej, to zrozumienie dla inności, szacunek dla odmienności niż nasze poglądy i — nieobojętność.

Ale po kolei. Inności nie znosimy u swoich i nie rozumiemy u obcych. Nie cierpimy, gdy ktoś nie zgadza się z naszym zdaniem, gotowi jesteśmy uznać za głupca każdego, kto

rozumieyśmy trochę po ullańsku, nie zawsze jest możliwe. Toteż zbyt kosztowna droga do kompromisu nie zadowala w końcu żadnej ze stron, co musi kiedyś odezwąć się następny konflikt.

Trudny negocjacyjny głównych sił politycznych dają dzisiaj jaskrawy przykład, jak bardzo jesteśmy dla siebie niewyrozumiali. Racji swych można i trzeba bronić do skutku tam, gdzie odstępstwo od nich oznacza kłamstwo i nieuczciwość. Demokracja polega i wymaga (!) jednak

podważa nasze sądy i obala argumenty. Nie potrafimy więc dyskutować spokojnie i bez wymachiwania siekierą. Gdy skończy się nam argumenty, zdarza się nierzadko, że sięgamy po obelgi, lekceważenie albo szatań. Kompromis przychodzi nam w bólach i mękach. Utożsamiamy kompromis ze słabością i ustępstwem. Zacięła obrona swoich pozycji prowadzi nas w ślepa uliczkę, a wycofanie się z honorem, który

WOJEWÓDZKIE KONFERENCJE SPRAWOZDAWCZO — WYBORCZE PZPR

Nie pamiętam, aby dawniej wojewódzkie konferencje partyjne trwały tak długo, aby dyskusja toczyła się późno w nocy, aby sprawy związane z wyborami były tak burzliwie dyskutowane, wywoływały tyle sporów. Gdy ten numer „Odgłosów” dotrze do Czytelnika, kampania wyborcza w partii będzie już zakończona. Nowe władze wybrane, wybrani delegaci na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR. Ale sprawy, o których dyskutowano na konferencjach partyjnych, długo będą jeszcze nurtowały ludzi. Bo tam, na konferencjach, mówiono i spierano się o to wszystko, co nas dotyczy, co wiąże się z naszą przyszłością. I niech sobie mówi kto co chce, ale dla mnie to wielkie zainteresowanie ludzi konferencjami partyjnymi, jak też wielkie zainteresowanie Zjazdem partii pokazuje najwyraźniej, jest oczywistym dowodem, że nasze społeczeństwo w partii widzi tę siłę, która może i musi kraj wyprowadzić z kryzysu. Jest to potwierdzenie prawdy, że partia stanowi siłę przewodnią i że partia jest gwarantem odnowy.

Przysłuchiwałam się obradom Wojewódzkiej Konferencji Partyjnej w Piotrkowie Trybunalskim. Sprawozdania z tej konferencji opublikowała prasa codzienna, przebieg konferencji omówił dokładnie „Tygodnik Piotrkowski”. Konferencja obradowała 22 i 23 czerwca, a niniejszy numer „Odgłosów” ukaże się 2 lipca. Wspominam o tym nie dlatego, że zwalnia mnie to od obowiązku napisania sprawozdania z przebiegu konferencji, bo zrobili już to inni, ale dlatego, iż zobowiązuje mnie to raczej do podzielenia się przemyśleniami, refleksjami, uwagami. I tak właśnie zamierzam uczynić. Dotyczyć będą one wpraw-

nie, raczej znani „na miejscu” ze swoich postaw, poglądów, pracy. Rekomendacje zwierzchnich instancji — przekonywał mnie ktoś — wynikają z tradycji, są pozostałością tego okresu, kiedy partia komunistyczna działała w podziemiu i aby uniknąć penetracji agentów wymagane były dokładne rekomendacje instancji zwierzchnich. Zresztą z tego okresu pochodzi funkcja zastępcy członka tej czy innej instancji. Tak, zastępca członka, gdy aresztowano członka danej instancji, wchodził na jego miejsce niejako automatycznie. Dziś nie ma takiej potrzeby i dlatego wiele konferencji zrezygnowało z funkcji zastępcy członka KW, a jednocześnie podjęło uchwałę o zachowaniu ważności mandatów delegatów co umożliwia uzupełnienie składu KW, a także stanowi rezerwę dla różnych komisji KW. Wojewódzka Konferencja Partyjna w Piotrkowie Trybunalskim wybrała jednak zastępców członków KW.

Na ogół wszystkie konferencje, i to różnych szczebli, podejmowały uchwały, że do władz można kandydować w zasadzie wtedy, gdy posiada się mandat delegata na daną konferencję, choć zgodnie ze Statutem PZPR bierne prawo wyborcze przysługuje wszystkim członkom partii. A więc na konferencjach można — za zgodą delegatów wyrażoną w głosowaniu — wpisywać na listę kandydatów do władz również zaproszonych gości spośród członków ustępujących władz bądź spośród członków władz nadrzędnych instancji. W Piotrkowie Tryb. sytuacja była o tyle skomplikowana, że kandydujący na delegatów z konferencji wojewódzkiej członkowie sekretariatu KW nie uzyskali mandatów.

Jeszcze przed przyjęciem po-

zycji partyjnej w „Sigmacie”, do której należy Stanisław Skłodowski. Później inni mówcy byli zdania przeciwnego. Reprezentowali oni organizacje partyjne z Bełchatowa, Kolu-szek, Tuszyń. Odwołano się nawet do obecnego na wojewódzkiej konferencji w Piotrkowie członka Biura Politycznego, sekretarza KC — Stefana Olszowskiego, który potwierdził, że nie ma żadnych przeszkód, aby Stanisław Skłodowski wpisał na listę kandydatów. Delegaci w głosowaniu jawnym wyrazili na to zgodę przy 12 głosach przeciw-

śnie ta sama konferencja wybiera tę samą osobę delegatem na Zjazd? Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

Innym jednak chciałabym podzielić się spostrzeżeniem. Jest taki zwyczaj, że delegaci różnych miast, gmin, dzielnic siadają razem. Niekiedy nawet odpowiednimi tabliczkami wyznacza się im miejsca. Dobry to zwyczaj, jeśli rzeczywiście stanowią o związkach między delegatami określonej organizacji. Konferencja jednak stanowić powinna jedno ciało, jeden organizm, jeśli nawet podzielony organizacyjnie, to

2. REFERAT

Wygłoszony przez Stanisława Skłodowskiego referat wywołał sporą dyskusję, nie wszyscy bowiem zgodzili się z zawartymi tam sformułowaniami. Pozwól sobie przytoczyć fragment referatu oraz niektóre głosy polemiczne.

„Trudną sytuację pogłębiają — powiedział St. Skłodowski — działania rozbijające różnych „grojków” politycznych na szczeblu centralnym, bardzo często odpowiedzialnych za wynaturzenia w partii, w życiu gospodarczym, których wielu, dzisiaj właśnie, przywdziało się w togi odnowicieli, zaprzeczając tradycje oraz klasowe i ideowe zasady naszej partii.

Wyrażając ufność w mądrość klasy robotniczej mam głębokie przekonanie, że partia oczyści się z tego balastu, uczciwa praca znajdzie właściwą ocenę.

Członkowie Komitetu Wojewódzkiego wraz z jego kierownictwem oraz aparat partyjny w miarę swoich możliwości utrzymywały ścisły kontakt z organizacjami, uczestnicząc w zebraniach partyjnych, spotkaniach, prowadząc osobiste rozmowy, bardzo często właśnie przy warsztatach pracy. Jest prawda, że na wiele stawianych wówczas pytań nie potrafiliśmy do końca udzielić jednoznacznej odpowiedzi. A niektóre z nich, wobec zmiennych ocen Biura Politycznego i kierownictwa KC, nie zawsze były wiarygodne.

Mam, proszę towarzyszy, za sobą przeszło 24 lata pracy zawodowej, 22 lata w partii, wierzę mi, że nie ma w życiu bardziej upodlającej rzeczy, jak brak zaufania dla swojego kierownictwa, które na przestrzeni ostatnich miesięcy zrobiło dosłownie wszystko, aby je utracić.

Nie pomogli nam w pracy, a odwrotnie — paraliżowały działalność środki masowego przekazu, nawet te partyjne. Z wyjątkiem „Trybuny Ludu”, „Zolnierza Wolności”, niektórych redaktorów z „Polityki”, „Życia Gospodarczego”, „Płomiennika” i „Sztandaru Młodych”...

Często odnosi się do dziś wrażenie, że pod naporem problemów i zdarzeń władza i kierownictwo partii jest w ciągłej ucieczce. Zamiast wychodzić naprzeciw rozwijającej się sytuacji widoczny jest brak strategii i taktyki w działaniu kierownictwa partii. Partia nie stanęła na czele przemian, nie przejmując inicjatywy, wlecząc się nadal w ogień wydarzeń. Taka oportunistyczna postawa nie może rozbudzać zachwytu czy entuzjazmu do władzy, jest jedynie źródłem niewiary, co do możliwości rozwiązania obecnego kryzysu. Tę gorzką prawdę, proszę towarzyszy, należy dzisiaj odnosić do obecnego kierownictwa partii i rządu, osobiście do I sekretarza i premiera.

Przykro jest, że ta prawda została tak mocno obnażona w liście KC KPZR skierowanym do członków KC PZPR. W takiej sytuacji, towarzysze, proszę, żebyście mnie źle nie zrozumieć, przynajmniej Katowickie Forum i Forum Komunistów Wielkopolski pomagają nam zachować twarz wobec najbliższych sąsiadów i sojuszników oraz bratnich komunistycznych partii.

A oto niektóre wypowiedzi w dyskusji.

Tadeusz Bawarski — murarz brygadzysta w Elektrowni Bełchatów: — „Drugim bardzo ważnym czynnikiem w procesie odzyskiwania zaufania przez partię powinna być wiarygodność środków masowego przekazu. Powinny one w sposób szybki i obiektywny przekazywać informacje oraz być platformą do autentycznego dialogu ze społeczeństwem, w celu uspokojenia nastrojów i szukania dróg wyjścia z kryzysu”.

Jacek Sadowski — nauczyciel z Radomska: — „Nie podzielałam bezkrytycznej apoteozy Forum Katowickiego tułaj przedstawił, z tej trybuny. Jestem głęboko przekonana o potrzebie kontynuowania linii odnowy, kształtowanej przez obecną kierownictwo partii, o potrzebie jej obrony. Nie można pozwolić, by odnowę zatapano, zakłócano, czy zgłaszano. Dlatego pragnę zapropono-

wać potrzebną obecnie formę wyrażenia pełnego poparcia dla uchwały XI Plenum KC PZPR.”

Włodzimierz Szewczyński — z Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego: — „Zolnierze Wojska Polskiego żywią do Wojciecha Jaruzelskiego głęboki szacunek i żołnierskie zaufanie. Nie będę szczędzić wysiłku, by zawsze być w wysokiej dyspozycyjności i gotowości do wypełnienia swych politycznych i patriotycznych zadań.

W tym miejscu wyrażam dezaprobatę dla tej części referatu tow. Skłodowskiego, w której podważa działalność towarzyszy Kani i Jaruzelskiego.”

3. DYSKUSJA

Dyskusja była długa, wielowątkowa, obejmująca różne problemy, z jakimi organizacje partyjne spotykają się w codziennym życiu. Była też krytyczna, ale i poszukująca. Wszystkim nam zależy bowiem na możliwie szybkim wyjściu z kryzysu, choć z drugiej strony zdajemy sobie sprawę i z tego, że wychodzenie z kryzysu musi być procesem i nie dokona się naraz, jednego dnia, w jednym miesiącu, nawet w półroczu. Będzie to wymagało wielkiego nakładu pracy, wielkiego wysiłku i niejednych jeszcze poświęceń. Również reforma gospodarcza, po wprowadzeniu której tak wielu dużo sobie obiecuje. Otóż i tu nie należy mieć złudzeń. Wprowadzanie reformy będzie wymagało od nas wszystkich znacznych wysiłków i wcale tak szybko niczego nie zmieni, gdyż będziemy musieli się uczyć samodzielności. Tej samodzielności, której nam dziś jeszcze brakuje. Stąd oczekiwania, że Zjazd wszystko załatwi.

Mówił o tym w dyskusji między innymi Edward Wójcik — delegat na IX Zjazd z „Elektroinżu” w Bełchatowie:

„W broszurce pt. „Kierunki działań wojewódzkiej organizacji partyjnej w latach 1981—1982” zawarty jest kilkadziesiąt haseł, o których pisze się, że „stanowią będą podstawową wytyczną działania do czasu opublikowania uchwały IX Nadzwyczajnego Zjazdu”. Nasuwa się pytanie: po co tyle wysiłku? Po to, żeby po trzech tygodniach ten materiał odłożyć ad acta? Czy my nie możemy i nie umiemy samodzielnie myśleć? Czy nie wiemy, co potrzebne jest społeczeństwu w naszym województwie? Czym powinna zajmować się partia? Czy Zjazd ma rozwiązać nasze wojewódzkie sprawy? Zaczniemy po prostu od siebie.”

Podobny pogląd zaprezentowała też Genowefa Bułacińska — I sekretarz KG PZPR w Ręcznie. Powiedziała ona między innymi:

„Uważam, że nie czekając na IX Zjazd można i trzeba usuwać z działania gospodarczego wyraźnie widoczne przeszkody, zawałdności, bezsensowne utrudnienia, głupie nawyki, to wszystko, co pcha wstecz i to w zastraszającym tempie.”

Nie kwestionując niewątpliwych osiągnięć województwa od czasu jego powstania, dyskutanci wskazywali jednak na cały spłot nonsensów, nieporozumień, beznamiętności, niegospodarności, na bałagan inwestycyjny. Wszystko to wymaga teraz uporządkowania, a szczególnie sprawy związane z prawidłowym funkcjonowaniem rolnictwa. Rolnicy — delegaci na Wojewódzką Konferencję Partyjną w Piotrkowie Tryb. zgodnie stwierdzili, że jeśli otrzymają więcej tego wszystkiego, co jest im potrzebne do rozwijania gospodarki to dadzą też więcej produktów rolnych, a to — wiemy wszyscy — jest nam niezbędne. Nie czekając więc na generalne rozstrzygnięcia, jakie zapadną w Warszawie na IX Zjeździe, już dziś można i trzeba szukać własnych dróg wyjścia z kryzysu. Te własne drogi i ścieżki, te male — na skalę gminy, miasta, województwa — rozwiązania ułożą się w szereg, choć niegładką, ale zawsze drogę wyjścia z naszego, tak głębokiego kryzysu.

BOGDA MADEJ

SAMODZIELNOŚĆ POTRZEBNA OD ZARAZ



Foto: J. Dybicki

dzie tylko niektórych spraw, tych przede wszystkim, które uważam za najistotniejsze, najbardziej charakterystyczne i dla Wojewódzkiej Konferencji Partyjnej w Piotrkowie Trybunalskim i dla innych konferencji, których przebieg śledziłam bądź to za pośrednictwem radia i telewizji, bądź prasy.

1. PROCEDURA

Niemal na wszystkich konferencjach najwięcej czasu zabierały sprawy proceduralne. Dlaczego? Nie jest to tylko moje pytanie. Spotkałam się z nim w wielu rozmowach. Czy dlatego, że nie umiemy posługiwać się demokracją w życiu partyjnym? Myślę, że nie tylko, choć bez wątpienia — jak to słyszałam — do tej pory akceptowano różne propozycje, a teraz wybiera się ludzi spośród tych, których obdarza się zaufaniem. I nie muszą to być konieczne ludzie rekomendowani przez instancje zwierzchni-

rzędu obrad o głos poprosił Tadeusz Kołodziejczyk z Inowłodzi i w imieniu 27 instancji partyjnych z gmin i miast wystąpił z wnioskiem o przyznanie przez wojewódzką konferencję biernego prawa wyborczego dotychczasowemu I sekretarzowi KW — Stanisławowi Skłodowskiemu oraz umieszczenia go na liście kandydatów na I sekretarza KW, a także na liście kandydatów na delegatów na IX Zjazd partii. Rezolucja 27 instancji partyjnych wyrażała dezaprobatę dla Miejskiej Konferencji Partyjnej w Piotrkowie Trybunalskim, która to konferencja nie wybrała Stanisława Skłodowskiego delegatem na konferencję wojewódzką. Podnoszono w tej rezolucji zastęgi Stanisława Skłodowskiego dla województwa. Domagano się również, aby głosowanie odbyło się natychmiast i było jawne.

Rezolucja ta spotkała się początkowo z aprobatą. Poparło ją kilku pierwszych mówców, a wśród nich sekretarz organi-

nych i 43 wstrzymujących się. Ustalono przy tym, że wybory I sekretarza i władz oraz delegatów odbędą się zgodnie z przyjętym porządkiem obrad i w głosowaniu tajnym.

W rezultacie wyborów — jak wiadomo z prasy codziennej — I sekretarzem KW PZPR w Piotrkowie Trybunalskim został Stanisław Kolasa, podpułkownik pilot, dotychczasowy szef Aeroklubu w Piotrkowie Trybunalskim. Jego kandydatami byli: Józef Tosik, Zenon Kaszuba, Ryszard Ściśkowski, Stanisław Kolasa otrzymał 180 głosów, Zenon Kaszuba — 145, Stanisław Skłodowski został wybrany jedynie delegatem na IX Zjazd PZPR.

Ale i ten wybór wywołał pewne zdziwienie. Spotkałam się na przykład z pytaniami: jak to możliwe, że konferencja miejska nie daje mandatu, konferencja wojewódzka nie wybiera do władz, a więc nie obdarza zaufaniem, a jednocześnie

zjednoczony merytorycznie. Delegatom powinno chodzić o wspólny interes całej organizacji wojewódzkiej. Niestety, na wielu konferencjach, a także w Piotrkowie Tryb., takie podziały było widać i nie wyszło to z korzyścią dla wyników różnych głosowań. Przy wyborach władz powinno się dbać o reprezentację wszystkich rejonów województwa, środowisk zawodowych i tak dalej i powinno to zależeć od mądrości delegatów, od ich wspólnej pracy poprzedzającej konferencję. Natomiast troska o to, aby wybrać jak najwięcej delegatów z danego miasta nie prowadzi do niczego, odbywa się kosztem delegatów z innych rejonów, a w sumie prowadzi niekiedy do przypadkowości. Nie jest to w żadnym wypadku tęsknotą za słusznym odrzuconym „kluczem”, ale postulat prowadzenia pracy z delegatami, pracy inicjowanej przez samych delegatów, przed obradami konferencji. Tam, gdzie taka praktyka była, dała ona pozytywne rezultaty.

Dalszy ciąg ze str. 1

cznie powietrzem, powinna znajdować się już w pobliżu samolotu, w zasięgu liny, na której jest umocowana. Wszystko to było ilustrowane zdjęciami z ćwiczeń, ale brzmiało nieprawdopodobnie teoretycznie. Po wysłuchaniu tej instrukcji powtarzałem sobie, w duchu oczywiście, raz jeszcze moje postanowienie: w razie wypadku pozostać na miejscu w samolocie, nie ruszać się i koniec. Przypomina mi się nagle zabawna historia ukraińska, jak pewien chłop ukraiński, siedzący z wędką nad rzeką, na widok swego znajomka, tonącego na wielkiej łodzi, rozpaczyliwie przywołującego pomocy, powiada z niewzruszoną flegmą: Nie rypałeś, kumel! Opuskałeś na dno!

O godz. 1.45 (w nocy 21 marca 1942 roku) zajmujemy miejsca w samolocie. Jest to samolot „Liberator” No. A.M.262, czteromotorowy, taki sam „latający wieloryb”, jakim przelatywałem w lipcu zeszłego roku (1941) z Nowego Jorku, a raczej z Montrealu, do Prestwicku. Następuje bardzo staranne rozgrzewanie motorów i próba każdego silnika oddzielnie i wszystkich czterech jednocześnie. O godz. 2.20 ruszamy do miejsca startu. Jest z nami starszy oficer z dowództwa portu lotniczego, który wysiada na chwilę przed startem. Wreszcie ruszamy. Start jest czysty i lekki. Bierzymy szybko wysokość i po godzinie lotu jesteśmy już na wysokości 20.000 stóp. Zakładamy maski tlenowe. Warunki są doskonałe, zupełnie nie rzuca. Po dalszych dwóch godzinach windujemy się na 30.000 stóp. Jest nam bardzo zimno. Trudno oddychać nawet przy używaniu tlenów. Ponadto w samolocie jest straszliwie niewygodnie. Gen. Sikorski, płk. Protasewicz, dr Retinger i ja siedzimy na górze samolotu na miejscach, gdzie przy lotach bojowych siedzą radiotelegrafisci. Są to haniebnie wąskie ławeczki, na których absolutnie nie mieści się kształty Generała i moje powiększone wydatnie przez lotnicze kombiniezy. Przyjmujemy kolejno coraz bardziej nieprawdopodobne pozycje. Gen. Sikorski usiłuje spać. Retinger i Protasewicz siedzą zgięci we dwoje, a ja razem z nimi. Ksiądz prałat Karczyński i płk. Kleczyński leżą na dole samolotu, na workach i kocach. Wydaje się, że śpią. Oprócz naszego polskiego zespołu jest 10 innych pasażerów — Brytyjczyków i 7 osób załogi. Palić tym razem nie wolno, co utrudnia mi bardzo dokuczkliwie przetrzymywanie wielokrotnego, się nieznoszącego czasu. Nastaje świt. Niebo nadekło różowicie. Jesteśmy w piątą godzinę naszego lotu przez Atlantyk z Anglii do Ameryki.

Samolot tymczasem schodzi łagodnie na dół, na 15.000 stóp. W pięknej słonecznej pogodzie lecimy ku Nowej Fundlandii. Powinniśmy tam lądować w dwunastą albo czternastą godzinę lotu. O godz. 14 (czas Prestwick) zawiadamia nas dowódca samolotu, że nad Nową Fundlandią panuje burza śnieżna, lądowanie tam jest niemożliwe i że wobec tego lecimy wprost do Montrealu. Po dalszych pięciu godzinach lotu, lecąc na zupełnie niskim pułapie, już bez maszek tlenowych, lądujemy bardzo zreszczenie na lotnisku w Montrealu. Po 18 i pół godzinach siedzenia w niewygodnych pozycjach wychodzimy nareszcie na stały grunt. Nie umiem wypowiedzieć uczucia ulgi, jaką było postawienie nóg na asfalcie lotniska! Prawdziwie podziwiam wytrzymałość Generała, który ma 62 lata, jest więc o 16 lat starszy ode mnie, a wychodzi z samolotu zupełnie świeży, jakby odbył krótką przejażdżkę samochodem; ma miły, powitalny uśmiech i ożywione zapytania i odpowiedzi dla witających go na lotnisku osób, między innymi dla naszego ministra spraw zagranicznych, p. Raczynskiego, konsula generalnego w Montrealu, p. Brzezińskiego i ppłk. dypl. Janusza Iłińskiego, attache wojskowego w Kanadzie, oraz przedstawicieli władz kanadyjskich.

Po krótkich powitaniach jedziemy do Hotelu Ritz-Carlton. Jestem zupełnie „wykończony” tą podróżą lotniczą, spać mi się chce okropnie. Gen. Sikorski — widząc nasz godny pożałowania stan — daje nam wszystkim wolne do jutra rana. Jutro po południu konferencja prasowa, a wieczorem odjazd koleją do Waszyngtonu.

Wieczorem w hotelu telefonuje do mnie ppłk. Kleczyński z zapytaniem, czy może zaraz przyjść do mnie w bardzo ważnej sprawie. Jestem nieco zdziwiony, jaka to może być sprawa, że aż niezwłocznie musi ją przedstawić, ale proszę go, aby przyszedł. Wciążam na siebie szlafrok, bo już byłem rozebrany, a właściwie, to już prawie spałem.

Kleczyński za chwilę przychodzi; przynosi w ręku jakąś większą paczkę, zawiniętą w gazetę. Bez żadnych wstępów, bez żadnego zdenerwowania, zupełnie spokojnym tonem, płk. Kleczyński melduje mi, że ten oto przedmiot znalazł w samolocie Rozwią paczkę z gazetą i podaje mi metalową czarno lakierowaną „puszkę, o wymiarach mniej więcej 8,5

cali; do górnej części puszkę doczepione są druty, jakby do połączenia z prądem elektrycznym. Pierwszy raz widzę podobny przedmiot, więc zaskoczony zapytuję go, co to jest i dlaczego dopiero teraz zawiadamia mnie o tym, dlaczego nic nie mówił w czasie naszego lotu. Płk. Kleczyński w odpowiedzi podaje mi następujące szczegóły: mniej więcej w czwartą godzinę lotu, poczuł pod sobą jakiś twardy przedmiot i zarazem postyszał syczenie, jakby ulatniającego się gazu lub powietrza pod ciśnieniem. Sięgnął ręką pod materac i znalazł tę puszkę. Rozewał druty, które były ze sobą połączone (z baterią) i zastanawiał się, co ma dalej zrobić. Zamierzał początkowo otworzyć okno w samolocie i przez nie wyrzucić puszkę, lecz uznał to za ryzykowne z uwagi na duże zmniejszenie szybkości lotu. Postanowił więc poczekać. Po jakimś czasie syczenie ustało. Wówczas poszedł do garderoby i tam czekał myśląc, że jeżeli puszka nie ostygnie, wyrzuci ją przez otwór, znajdujący się w ustępie. Po godzinie czasu jednak, kiedy puszka zupełnie oстыła, powrócił na swoje miejsce i postanowił nie zawiadamiać o tym nikogo, aż do chwili przylotu do Montrealu. Płk. Kleczyński przypuszcza, że jeśli to bomba zapalająca, która była podrzucona na lotnisku Prestwick do samolotu wiozącego gen. Sikorskiego, i nastawiona na czas — mniej więcej czwartą albo piątą godzinę naszego lotu — a więc na moment, kiedy powinniśmy być, i rzeczywiście byliśmy, nad samym środkiem Oceanu Atlantyckiego. Płk. Kleczyński dodaje przy tym, że gdyby bomba zapaliła się, nie byłoby sposobu opanować pożaru, samolot sponiałby w kilkanaście lub kilkadziesiąt sekund. Kleczyński zna bardzo dobrze tego typu aparaty, będące w użyciu lotnictwa brytyjskiego, a służące dla niszczenia samolotów własnych na wypadek przymusowego lądowania na terytorium nieprzyjaciela.

Po wysłuchaniu płk. Kleczyńskiego przez dłuższą chwilę milczałem pod wrażeniem tej niesamowitej wiadomości; potem usłyszałem pytanie: „Co Pan pułkownik rozkaże dalej czynić?”. Odechnąłem głęboko i po krótkim zastanowieniu się nakazałem płk. Kleczyńskiemu zachowanie całej tej sprawy w absolutnej tajemnicy i niewyjawienie jej nikomu aż do dalszych moich rozkazów. Po przybyciu do Waszyngtonu zastanowiłem się nad tą sprawą — powiedziałem Kleczyńskiemu — a przede wszystkim będę starał dowiedzieć się, co to za rodzaj sprzętu i dlaczego nie zapalił się. Zobowiązałem płk. Kleczyńskiego raz jeszcze do zachowania najściślej tajemnicy i na tym sprawę na razie zakończyliśmy. Puszka — a raczej bomba zapalająca się? Co to wszystko ma oznaczać? Sabotaż przeciwko gen. Sikorskiemu? Przygotowany w tak straszliwy sposób, aby zginął bez żadnego śladu, bez świadków, pośrodku Oceanu Atlantyckiego, na wysokości 30.000 stóp — czyje to może być dzieło?

Płk. dypl. Bohdana Kleczyńskiego przedtem nie znałem zupełnie; pierwszy raz spotkałem go właśnie w Prestwick. Nic o nim nie wiem, z wyjątkiem tego, że ma wysokie bojowe odznaczenia, polskie i brytyjskie już z tej wojny i że jest znanym z działalności oficerem lotnictwa bombowego. Jak pisałem, w czasie gdy w Prestwick czekaliśmy kilka dni na samolot do Ameryki, płk. Kleczyński nie udzielał się zupełnie, wyraźnie stronił od nas wszystkich i całymi dniami leżał na łóżku w swoim pokoju hotelowym. Przy rzadkich spotkaniach, przeważnie przy wspólnych posiłkach, mówił nam, jakby tłumacząc, się, że po ranie i ciężkich przygodach na Kanale La Manche jest ciągle chory i czuje się bardzo osłabiony. Zewnętrznie Kleczyński przedstawia się na ogół poprawnie, tylko jego oczy mi się nie podobają; są jakby błędne o dziwnym wyrazie niepokoju, czy strachu.

Bomby zapalające, która leży przede mną na stoliku, nie znam absolutnie, nie widziałem jej nigdy. Płk. dypl. Michał Protasewicz jest saperem, oficerem inżynierii, musi więc znać się na tym dobrze, trzeba się z nim poradzić. Wezwałem telefonicznie płk. Protasewicza do siebie: było już bardzo późno (godz. 2 w nocy), więc przyszedł mocno zaszpan. Objąśniliśmy mu po krótko, o co chodzi i podałem mu ów przedmiot. Po obejrzeniu przyrzekł płk. Protasewicz orzekł, że jest to bomba czasowa, zapalająca, o wielkiej sile działania i bardzo szybkim efekcie zapalającym.

Protasewicz, dzielny żołnierz, który nie jedno widział w czasie tej wojny, powtarza: „No, no! Ale nas chcieli ładnie urządzić! To jest zamach na gen. Sikorskiego!”

Urządaliśmy z Protasewiczem, że po przyjeździe do Waszyngtonu poprosimy Oddział II Sztabu Generalnego Stanów Zjednoczonych o fachową ekspertyzę tej bomby zapalającej. Omówiliśmy sposoby zachowania największych środków bezpieczeństwa względem osoby gen. Sikorskiego w czasie pobytu w Ameryce, a

zwłaszcza w drodze powrotnej. Zdecydowałem się przede wszystkim, że w czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych General będzie podróżował wyłącznie koleją, a najchętniej w ogóle bym zupełnie wyeliminował wszelkie jego podróże lotnicze. Wypadek z ostatniego lotu, wprawdzie bardzo zagadkowy, jest pierwszym ostrzeżeniem; prawdziwym cudem uniknęliśmy śmiertelnego niebezpieczeństwa ale, jeśli był to naprawdę zamach na życie gen. Sikorskiego — a wszystko wskazuje, że tak jest w istocie — to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że będą powtórzenia podobnych zamachów. Najważniejsze jest znalezienie odpowiedzi: czyja to może być robota?

Odechła nam się spać. Paląc bez końca papierosy, przesiadywałem z płk. Protasewiczem prawie do samego rana, omawiając raz jeszcze całą naszą podróż samolotem i starając

zrzucić bomby, ponieważ musiałbym zrzucić ją przez drzwi do skoku parazytującego, przez co niewątpliwie musiałaby się obniżyć szybkość lotu samolotu. Poza tym uświadomiłem sobie, że bomba nie jest już więcej skuteczna, ponieważ rozłączyłem ją z pokrywą zrywając drut. Małe rozmiary bomby wskazywały, że nie jest ona typu wybuchowego, a w razie gdyby zapaliła się miałem zawsze możliwość wyrzucenia jej. Z drugiej jednak strony, nie będąc pewien, czy dokonane przeze mnie rozłączenie było skuteczne, nie ryzykowałem ani pozostawienia bomby, ani wyrzucenia jej przez okno. Usiadłem przy oknie i czekałem, aż bomba oстыgnie; gdy się to stało, byłem pewny, że niebezpieczeństwo minęło. O powyższym złożeńiu meldunek Z-cy Szefa Sztabu Naczelnego Wodza, płk. dypl. Leonowi Mitkiewiczowi”. Zeznanie ppłk. Kleczyńskiego nie

Z LEON MITKIEWICZ SIKORSKIM NA OBCYZYŃIE

się rozwiązać logicznie potworną zagadkę: kto to zrobił i dlaczego?

Zobowiązałem do zachowania ściślejszej tajemnicy o tym wypadku również i płk. Protasewicza — nie ma o nim wiedzieć na razie także i gen. Sikorski.

28 MARCA 1942 ROKU. WARDMAN PARK HOTEL, WASZYNGTON D.C.

Wieczorem przychodzi do mego pokoju w Wardman Park Hotel (115A) mjr. Stefan Dobrowolski i przynosi wynik ekspertyzy G-2 (Oddział II Sztabu Generalnego USA) w sprawie zapalającej „świecy” w naszym „Liberatorze”, a także pisemne zeznanie ppłk. Kleczyńskiego, o które prosił go przeze mnie oficerowie amerykańscy z G-2. Ani gen. Sikorski, ani w ogóle nikt o wypadku tym jeszcze nie wie — tajemnica jest dobrze zachowana; wiemy tylko we cztery i G-2. Postanowiłem nie mówić nie Generałowi. Jak powróćmy do Londynu, opowiem całą sprawę Klimcekiemu. Może do tego czasu wyjaśni się kto i po co to uczynił. Głowie się nad tym jak będziemy wracali do Londynu, czy samolotem — tak jak było powiedziane Anglikom — czy też okrętem.

Czytam wyniki ekspertyzy razem z mjr. Dobrowolskim; są one naturalnie po angielsku; umieszczam tutaj tłumaczenie na polski:

„Przedmiot znaleziony przez ppłk. Kleczyńskiego, po zbadaniu laboratoryjnym przez Oddział II Sztabu Generalnego USA w Waszyngtonie okazał się „zapalającą świecą” o wielkiej mocy. Załączony wynik „prześwietlenia promieniami „X” (co zostało dokonane przed zdemontowaniem) i dołączone części pozwalają na odtworzenie mechanizmu zapalającego. Mały drut, przechodzący przez miedzianą tubę, która po zerwaniu zwalnia zastawkę sprężyny, naciskającą przez to na zapalnik i powodującą zapalenie się świecy. Płomień z zapalnika przechodził po przez łont do bocznych tub i warstw prochu, znajdującego się pod materiałem zapalającym. Zerwanie drutu uzyskuje się przez rozbiście szklanej tuby, zawierającej GU CI 2. W tym wypadku szklana tuba nie była rozbita, możliwe, że dodatkowy mechanizm zdemontowany przez płk. Kleczyńskiego mógłby spowodować w ograniczonym czasie rozbiście szklanej tuby, ponieważ był to rodzaj puszkę, przytwierdzonej do górnej części „świecy”. Nie było możliwe określenie pochodzenia mechanizmu na podstawie oddzielnych części, lecz niewątpliwie jest to przedmiot masowej produkcji. Nie były brane pod uwagę palców, ponieważ na zewnętrznej „świecy” było ich bardzo dużo, jedne na drugich, natomiast żadnych wewnątrz”.

Zeznanie pisemne ppłk. obs. dypl. Bohdana Kleczyńskiego:

„Leżąc na materacu na podłodze samolotu, poczułem silny zapach palącej się gumy. W obawie, że jest to krótkie spieczę w przewodach elektrycznych, zacząłem szukać pod materacem. Gdy wsunąłem rękę pod materac, wyzwałem gorący przedmiot i wydobyciem silnie rozgrzaną bombę zapalającą, na której końcu była pokrywa, obwiązana czarną taśmą. Pokrywa była tak rozgrzana, że już się dymiała. Zerwałem drut, który łączył pokrywę z bombą i pobiegłem do tylnej części samolotu (toaleta), aby oddalić się od zbiorników z benzyną, a będąc tam, chciałem wyrzucić bombę na zewnątrz; wyrzuciłem do toalety tylko pokrywę. Nie wy-

jest całkowicie identyczne z tym, co mówił mi w Montrealu, zwłaszcza sprawę pokrywę. Nie poruszam na razie tej sprawy, aż do powrotu do Londynu. Jedno tylko muszę bezwarunkowo zrobić, jeżeli wracamy samolotem do Anglii, mianowicie przez tegoż właśnie ppłk. Kleczyńskiego dopilnować bezpieczeństwa gen. Sikorskiego w drodze powrotnej samolotem do Londynu. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że miał miejsce zamach na Generała i że cudem uniknęliśmy śmierci w płomieniach samolotu nad samym środkiem Oceanu Atlantyckiego, na wysokości 30.000 stóp. Szatańska myśl — zginełbyśmy bez śladu.

Ekspertyza amerykańska (G-2) przeznacza i nader ostrożnie nie podaje pochodzenia „świecy zapalającej”. Według zdania mjr. Dobrowolskiego, do pewnego stopnia fachowca, jest to produkt bez wątpienia pochodzenia brytyjskiego, używany w lotnictwie brytyjskim dla niszczenia własnych samolotów, które musiały lądować na terenie nieprzyjacielskim.

3 KWIEŹNIA 1942 ROKU. LOTNISKO GANDER. NOWA FUNLANDIA.

Dopiero dzisiaj po południu, o godz. 15, przylecieliśmy do Gandera. Po zaalarmowaniu w Montrealu władz wojskowych kanadyjskich wiadomością o „świecy zapalającej” w naszym samolocie w drodze z Anglii, zrobił się wielki ruch. Cały dzień 2 kwietnia spędziłem na rozmowach z przedstawicielami brytyjskich i kanadyjskich władz wojskowych. Doraźny skutek polega na opanowaniu odtłu do jeden dzień, ale również na całkowitym, w granicach ludzkich możliwości, zapewnieniu bezpieczeństwa w powrotnej drodze. Wszystko stało się zgodnie z moimi żądaniami. Samolot gen. Sikorskiego został gruntownie zrewidowany z czynnym udziałem płk. Kleczyńskiego, zostały sprawdzone przyrządy, samolot zaplombowany, wystawiono warty. Samolot będzie oddany załozce przez specjalnego oficera lotnictwa przed samym startem. Po drodze mamy odbyć tylko w naszym polskim zespole, w towarzystwie załogi i specjalnie wyznaczonego starszego oficera lotnictwa kanadyjskiego. Płk. Bohdana Kleczyński melduje mi wykonanie rozkazu o rewizji „Liberatora” i, żegnając mnie, wręcza mi miniatury obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej w brzoje, mówiąc z nieklamnym wzruszeniem: „Niech opieka Matki Bożej będzie zawsze z Panem...”. W Montrealu dołączają do naszego zespołu (Generał, dr Retinger, Protasewicz i ja) młn. Edward Raczynski z radcami MSZ Michałem Potulickim i Bałińskim. Start z Montrealu nastąpił o godz. 10 3 kwietnia. W Gander lądujemy o godz. 14.45. Natychmiast nasz „Liberator” obstawiony jest wartami wojskowymi. Otrzymujemy wszyscy specjalne przepustki na prawo wyjścia i poruszania się na terenie lotniska. Do naszego samolotu mamy powrócić tylko w towarzystwie specjalnie do nas przydzielonego oficera. Są to skutki naszych montrealskich rozmów. Gen. Sikorski i reszta osób niewątpliwie samoczo zdziwieni tymi niebywałymi obostrzeniami; tłumacząc, że prawdopodobnie wyszły nowe przepisy o zachowaniu bezpieczeństwa lotów. Początkowo oznajmiam nam, że

wieczorem wystartujemy do Prestwick, potem zostaje to odwrotne z zapowiedzią, że wypadnie nam pozostać do jutra, a może i dłużej: zia pogoda nad Atlantykami.

W Gander, a właściwie w całej Nowej Fundlandii jeszcze panuje wszechwładna zima — leży gruby całun śniegu. Po obiedzie w kafeterii (hamburger z kartoflami, razowy chleb i kawa...) gen. Sikorski zabiera mnie ze sobą na spacer. General jest dobrym piechurkiem. Idziemy daleko poza lotnisko. Krajobraz tu płaski, nizinny. Las niskopienny, przeważnie sosnowy, tylko miejscami rośnie karłowata, pokraczna brzoza. Drzewa sosnowe także jakieś pokrócone, guzowate. Nie widać żadnych zwierząt. Gander położony jest na zupełnym pustkowiu tuż nad samym brzegiem Oceanu Atlantyckiego; najbliższym większym osiedlem ludzkim jest St. Johns, odległe o kilkadziesiąt mil. W czasie spaceru z Generałem rozmowa jest naturalnie polityczna. General powraca do tematów waszyngtońskich i ciągle się zastanawia nad stosunkiem Rosji Sowieckiej do nas. Wyznawam, że dręczą go myśli: czy iść z Zachodem — z Rooseveltem i Churchilllem — czy ze Stalinem? Dzisiaj jest Wielki Piątek i jeżeli jutro nie odlecimy do Anglii, to Święta Wielkanocne możemy spędzić w drodze, w samolocie albo nawet tutaj, w Gander, rognosy meteorologów są mało pocieszające: nad Oceanem Atlantyckim poważne zaburzenia.

6 KWIEŹNIA 1942 ROKU. GASK. SZKOCJA.

Przełot w drodze powrotnej byłby najzupełniej pomyślny, gdyby nie kłopoty z maskami tlenowymi. W drugiej połowie lotu, w 7 albo 8 godzinie, maski pozamazały i zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Nie było masek na zmianę. Próba moja przejścia kilku kroków bez maski tlenowej o mało nie kosztowała mnie zemidlenia. W ósmej godzinie lotu gen. Sikorski ciężko omdlał z powodu braku dopływu tlenu do płuc. Zaalarmowany pilot sprawdził samolot na 10.000 stóp i omdlenie Generała szczęśliwie ustąpiło. Wszyscy zresztą doznaliśmy znacznej ulgi. Nasi cywili towarzysze — Raczynski i Potulicki — chorowali na powietrzną chorobę, widoczne ślady której nosił na sobie nowiutki płaszcz „Burberry”, kupiony w Nowym Jorku przez płk. Protasewicza.

Płk. Protasewicz i ja przeżywalismy ten powrotny lot w ciągłym napięciu nerwowym. Przez cały czas lotu zachodziła nieustanna obawa sabotażu...

Po 12 godzinach lotu szczęśliwie lądujemy w Prestwick. Cała załoga „Liberatora” i towarzyszący nam do Montrealu pułkownik lotnictwa kanadyjskiego, który wiezie do Londynu dokumenty dotyczące bomby zapalającej oraz wyniki wstępnej śledztwa w Kanadzie, wyrażają manifestacyjnie wielką radość, że lot został zakończony pomyślnie. Gen. Sikorski przyjmuje to, jako należne mu poniekąd z urzędu; ma on dla każdego z nich słowo osobistego podziękowania i uścisk dłoni, szczególnie dla dowódcy samolotu kapitana RAF, Sturta.

W Prestwick na lotnisku oczekuje Generała płk. Borkowski. Jedziemy do Gasku.

Dopiero w Gasku, w pięknej rezydencji Buchanów, mamy w południe prawdziwie świętowanie według najświętszej tradycji staropolskiej. Na święta Wielkanocny przyjechali z Londynu panie Helena Sikorska i Zofia Leśniewska; ich obecność nadaje charakter rodzinny spóźnionej o jeden dzień ceremonii święconej.

General opowiada o pobycie w Stanach Zjednoczonych, jest w nadzwyczajnie dobrym humorze. Nikt z obecnych, poza mną i płk. Protasewiczem, nie wie jak poważne przeżyliśmy niebezpieczeństwo. Przy świątecznym śniadaniu, w obecności żony i córki Generała mówię uśmiechniętym wyznaczonego starszego oficera lotnictwa kanadyjskiego. Płk. Bohdana Kleczyński melduje mi wykonanie rozkazu o rewizji „Liberatora” i, żegnając mnie, wręcza mi miniatury obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej w brzoje, mówiąc z nieklamnym wzruszeniem: „Niech opieka Matki Bożej będzie zawsze z Panem...”. W Montrealu dołączają do naszego zespołu (Generał, dr Retinger, Protasewicz i ja) młn. Edward Raczynski z radcami MSZ Michałem Potulickim i Bałińskim. Start z Montrealu nastąpił o godz. 10 3 kwietnia. W Gander lądujemy o godz. 14.45. Natychmiast nasz „Liberator” obstawiony jest wartami wojskowymi. Otrzymujemy wszyscy specjalne przepustki na prawo wyjścia i poruszania się na terenie lotniska. Do naszego samolotu mamy powrócić tylko w towarzystwie specjalnie do nas przydzielonego oficera. Są to skutki naszych montrealskich rozmów. Gen. Sikorski i reszta osób niewątpliwie samoczo zdziwieni tymi niebywałymi obostrzeniami; tłumacząc, że prawdopodobnie wyszły nowe przepisy o zachowaniu bezpieczeństwa lotów. Początkowo oznajmiam nam, że

Zamiast odpowiedzi podkreśliłem korzyści i wyгоды komunikacji morskiej, podając raz jeszcze mój całkowity brak zaufania do długich lotów, nad „wielką wodą” w szczególności. Odpowiedzi moja utrzymuje w tonie pół-żartobliwym, nie chce bowiem, aby General czegoś się domyślał zanim nie zostanie zakończona śledztwo i zanim nie zamelduję o wypadku naszym gen. Klimcekiemu.

MARIAN MISZALSKI

KANIKUŁA

wiejski przyglup z procy ustrzelili Chrystusa
noca wiersz poroniono w pensjonarskiej mecie
w fabrykach gadała o nowych podwyżkach

wczoraj była burza

uczni wyizolowali nowego wirusa
przydarzyła się psłakrew, skrobanka panience

znowu żar leje z nieba
pod miastem wyszła mała rzeczka
ogórek obrodził a wcześniej porzeczka
jakaś miłość umarła, inna zakwitła
od dziś na targowiskach tańsze pomidory

trzydzieści Celsjusza było rano w cieniu

w nocy kurwa alfonsa tasakiem zabiła
inteligent po wodce chwali wallenrodyzm

przewracają się w łóżkach ubodzy ciulące
śniąc wszy czyli pieniądże pieniądże
po bramach czatują raczajone żądze
na ulicy tramwaj przejechał motyla

na kolanach dzieci zatesknęły za domem
czołowi gracze już trenują w ligach
znowu aniołek wyfrunął peknietym kondonem
włoszczyzna po pięć złotych peczek

spocona gęba miasta upał zakneblował
woda sodowa smakuje jak szczęście.



wieszajcie mnie wysoko
wysoko podciągajcie linę
niech nawet starca bielmem prześwietlone oko
wypatrzy moja winę
i czyjaś stara reka drżąca
postawi krzyż na moich błędach
i wargi czyjeś pergaminowe
zaszeleszczą jak księga:

kto zlekceważy głos sumienia sam siebie osądził
kto zlekceważy głos sumienia
kto?

wieszajcie mnie wysoko
wysoko podciągajcie linę
aż jakie drzewa cokol
pod moich win ciężarem

i drzewa pień uroni
żywicznych kropel parę
parę bursztynowych łez

wieszajcie mnie wysoko
wysoko podciągajcie linę
nie wyżej jednak
niż ta wleża kościelna
ani nie niżej
niż wierzchołki moich idealów
niech będzie nade mną tradycja niedzielnia
pode mną — morze banatu.

MAŁY PEJZAŻ

golgoty, które zmalowały
— pilaci rączki zacierały, myły,
niewinnych karawany
wśród szpalerów, które gwiżdżą i wyja

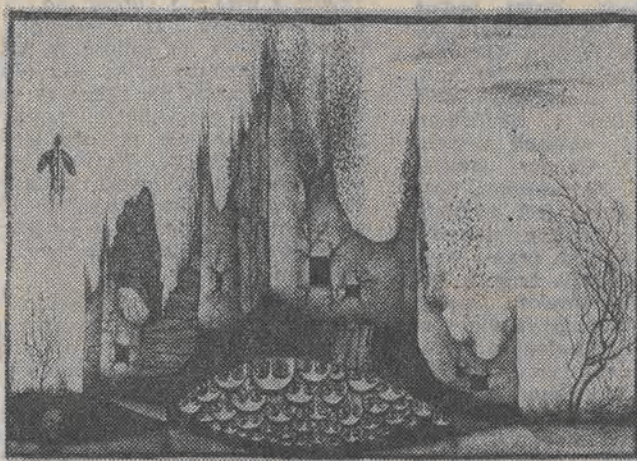
cyrenelezyce szymonowie — nawet oni
wstydliwie spuszczały oczy:
białe chusty weronik
mól toczy

co krok na małych krzyżach
roznieci bawowle maleńce
— gwiazdki nieba coraz bliżej
małych członków wykrzywionych w mecie

— czyje to ciche głosy
szepem ośmiu osódek gromady?
Litnicy to, czy prorocy,

czy

bezębnymi usty
o cieniu aniołki
modlą się kalwaryjskie dziady?...
WACŁAW KONDEK „Apokalipsa II”. Litografia 1967.



WACŁAW KONDEK „Apokalipsa II”. Litografia 1967.

8 ODGŁOSY

ZBIGNIEW
DOMINIAK

SŁOŃCE

Ma dwie twarze: złotą dla
wszystkich i siwą dla wybra-
nych. Kto z nas dostrzegł tę
dwulicowość już w dniu stwo-
żenia, ten z niechęcią wyu-
rza się na powierzchnię ryba,
mrówka, dżdżownica, kret.
Nieprawdą jest, jakoby kret o-
ślepił w swoich ziemnych koryta-
rach. Jeden z wtajemniczonych
w prawdziwą naturę słońca,
nieprzejednany demaskator fał-
szywej dobroci, został ukarany.

Kto zbyt późno poznał tajem-
nicę, pragnie przynajmniej
chronić dzieci — zamyka w
poczwarcie, kokonie, jajku, ro-
dzi ślepe. Inni bronią się, żyjąc
w nocy. Są to nieszczerze isto-
ty, które zamiast żreć mają
złote wiązki światła. Przykład:
sowa, puszczyk, nietoperz. Wiatu
jest jednak takich, którzy
tkwią w niewiedzy. Na nich
pohukuje sowa, jęczy puszczyk,
nietoperz ciągnie za włosy w
regiony nocy. Na nich dżdżow-
nica kiwa palcem ciała. Na nich
pluskają ryby, rzykując poraż-
eniem. Dla nich kret wierca
korytarze w mrok, a mrówki
rozkładają parasole mrowisk.

Wielu jest takich, którzy
tkwią w niewiedzy. Opieszały
żółw, który zbyt późno dotarł
do miejsca wtajemniczeń, nie-
ufność skrywa pod grubym
pancerzem. Jest to optymistycz-
ny przykład dla innych, lekko
myślnych czelieści złotego ob-
licza.

1989

AB URBE

Coraz częściej spoglądałem na
niezadowolające postępy ewolu-
cji mojego ciała. Stałem zupeł-
nie bezbronny u progu rewolu-
cji naukowo-technicznej. Przy-
glądałem się w lustrze swojej
nagiej sylwetce i ze zgrozą mu-

siałem stwierdzić, że od czasu
mojego urodzenia natura nie
pożyczyła zadowolających poste-
pów, a wręcz przeciwnie —
popsute zęby zgarbione plecy,
znaczny nadmiar tkanki tłuszcz-
kowej na brzuchu i poślach-
kach świadczyły dobitnie o co-
faniu się ku formom prymityw-
nym.

Było oczywiste, że w drodze
naturalnego rozwoju nie mogę
spodziewać się wyników, które
pozwoliłyby sprostać wymaga-
niom otoczenia. Aby ostatecznie
pozbyć się złudzeń wyszedłem
takim, jakim mnie matka natu-
ra stworzyła, na balkon i spo-
rząłem na ścieżce się podemną
miasto. Modernizowało się, w
słońcu pobłyskiwało, strzelało w
górze, aluminiowymi wieżowca-
mi. Musiałem uznać jego do-
skonalszość. Tak tam na dole
rewolucja naukowo-technicz-
na pukała do drzwi. Ja nato-
miast, wyjawsz plastikowy
zab, byłem bez wyjścia ana-
chronicznym dzieckiem natury.

Po tym smutnym stwierdze-
niu przez dłuższy czas unika-
łem jawnych konfrontacji. Ni-
czym tarcza sianiałem wstę-
dliwie nagość artykułami naszego
przemyślni. Toteż zaniepokoi-
łem, ale i nie bez pewnej
satisfakcji stwierdziłem, które-
goś światocznego poranka, że
przyroda której byłem pełnym
uosobieniem, urbanizuje
się. Zaczęła bacznie obserwo-
wać te ciekawe przemiany.

Początki były ledwie dostrze-
galne. Oto na przykład w „wie-
ta państwowe zaczynałem się
czervenąć. Innym razem mia-
łem wrażenie, że wzdłuż mojej
osi centralnej przemaszerował
duży oddział wojska. Pod
wpływem tego impulsu serce,
myśli i czynny postanowiłem od-
dać miastu. Rozwinąłem sieć
komunikacyjną, a także dopro-
wadziłem do pełnego skanalizo-
wania podłóg. Następnie do-
konałem całkowitej ewidencji
organów, grupując w swoim re-
ku władze wykonawcze. Miało
to na celu ograniczenie władzy
ust, które — nie nadążając za
słusznym kierunkiem przemian
— w dalszym ciągu pełniły
baseł minionej okresu.

Uspokojony, sumiennie niż
zwykle rozporządzałem przygo-
towania do odparda ataku zi-
my. Niespodziewany kaprys
aury sparaliżował życie mia-
sta, którego rynekotkami zaczę-
ła płynąć krew.

1973

PANFLORYZM

Ekologię roślin zbywa się
nieśmiało bąknąć o
symbiozie. Jak w istocie fał-
szywie muszą być nasze do-
tychczasowe wyobrażenia,
niech świadczy prosty, spraw-
dzalny doświadczenie fakt:
czy komuś udało się naprawdę
wyrwać roślinę z korzeniami?
Czy nie pozostawało złudzenie
(gdzdy jedynie złudzenie!), że w
ziemi tkwi nie kończąca się
siatka dalszych włókien wy-
rwanej rośliny, łączących ją z
innymi?

Skazani jesteśmy wyłącznie
na obserwację bezpośrednią.
Na przykład las. Słowo suche
i piaszczyste, może odpowiadać
mu jedynie zbiór drzew sosno-
wych o niskim i rzadkim po-
syciu. Albo bór. Bór jest sło-
wem wilgotnym, liściastym.
Pod względem ciemności mo-
że równać się słowu: dżungla.
W borze trafiają się strumyki,
„oczka leśne”, pozostałości daw-
nych bagien. Zawsze bałem się
słowa bór. Było ciemne, nie-
przenikliwe. Można zabłądzić
w lesie, gdyby nazwać go bo-
rem.

Ale zwracam też uwagę na
okrucieństwo lasu. Stwarza
wrażenie przebywalności: na-
wet zachęca do przebycia u-
kładem ścieżek, łagodnością
poszycia; prowokuje estetykę.
A przecież wiadomo, że prze-
bicie go nie jest możliwe. Zna-
ne są przypadki, że ktoś, kto
wszedł do lasu „za potrzebą”,
został odnaleziony po kilku-
dziesięciu latach na skraju pa-
ragwajskich selwasów. Jeszcze
łatwiej o potwierdzenie fak-
tów niegdyś powszechnie zna-
nych, a co najwyżej zapomi-
nianych, o ludziach, których
— wychodzących na spacer do
pobliskiego zagajnika czy
wręcz parku — odnajdowano
po pewnym czasie przy wyre-
bie tajgi.

Dukty leśne i polany istnie-
ją właściwie po to, aby dać
oddech, zachęcić, wciągnąć. A
oceany, pustynie, polacie miast
i pól czyż są czymś innym niż
kontrapunktami dla nowego
gaszczu, boru? Gdyby opubi-
kowane prawdziwe mapy, które
spoczywają w sejfach pu-
stynnych mocarstw, okazałyby

się, jak silne są związki ro-
ślin, a fałszywe dotychczasowe
granice ich rozmieszczenia.
Można by przestraszyć się tej
masonerii drzew i krzewów.

Taki lek nie jest niezasad-
niony. Jako dowód przytoczę
zjawisko erozji skał na skutek
rozkruszania przez rośliny. Ol-
brzymie góry zniknęły z po-
wierzchni w wyniku tych dzia-
łań. Zwracam też uwagę na
istnienie obszarów pustyn-
nych. Godne zastanowienia
jest, że właśnie tam odnale-
żono ślady bogatych cywiliza-
cji. Ich zanik, nieraz bardzo
gwałtowny, jak poświadczają
nowsze badania archeologicz-
ne, nie znajduje racjonalnego
wy tłumaczenia. Zmiany klima-
tu wydają się być wtórne w
stosunku do tego tajemnicze-
go procesu. Wiele symptomów
zdaje się potwierdzać słuszne
podejrzenia o lokalnych bun-
tach roślin. Kto wie, czy wy-
piętrzenia łądów nie zawdzie-
czamy również systemowi kła-
czy, a dające się zaobserwo-
wać w glebie okragłe kamienie
w sieci korzeni nie są mode-
lem globu.

Muszę zwierzyć się z pewne-
go obrazu, jaki mnie prześla-
duje: nasza planeta oglądana
z odległej perspektywy, przy-
pominająca jaskół obrosniętą
szczecina. Widać naprawdę ob-
rzydlawą. Należałoby wytyczyć
przeżytnie granice stref ro-
ślinnych, następnie rozparcelo-
wać je i uniemożliwić wszelkie
miedzy nimi kontakty. Na za-
władanie florą w całości nie
mamy jeszcze środków. Ale
czyżmy, co w naszej mocy, aby
ona nie zawładnęła nami.

Co jednak sądzić o odcho-
dzeniu medycyny od naukowej
wypracowanych leków farma-
ceutycznych i powrocie do
wykorzystywania w celach lecz-
niczych wywarów z roślin?
Wyrażam głęboką nieufność co
do moralnych skutków podob-
nych praktyk. Przecież atawis-
tyczny niszczycielski stosunek
do natury wydaje się zupełnie
umotywowany. Oddalam przy-
kłady tzw. wielkie, rezygnując
również z przekrojów histo-
rycznych, ale trzeba pomyśleć
o upartym deptaniu trawni-
ków w miejscach zabronio-
nych. Głęboko zakorzenione
(coż za wstętnie słowo!) i zdro-
we popędy znajdują tu reali-
zując godną naszych przeczuć.

1976.

O PEWNEJ
LEGENDZIE

Forum minus, czyli rynek Panny Ma-
rii jako najwyżej położony plac w mie-
ście, spadający gwałtownie jak płaski am-
fiteatr od zamku i kolegiaty ku północy,
czy w stronę śródmieścia, stał się sceną
i widowiskiem dramatu, który nie miał swe-
go poety, bo jedyną pieśnią po nim były
ubogie strofy dziadkowski. zanikające po
wsiach ziemi kieleckiej już w dzieci-
ństwie naszych starych matek. Góry i la-
sy widniały na północ, wschód i zachód,
a gdyby wejść na rusztowanie pod sz-
bienią, można by ponad dachem kole-
giaty zobaczyć stronę południową, gdzie
poza nierównym idącym w granatowych
sosenach grzbieciem, któremu horyzont nie
wystarczał, leżała Bileza, pasierbica na-

tury. Już sam widok podkreślających
światła słoneczne borów z wyębami dla
wsi i pastwisk przypominał zapach roz-
tartej na dłoni macierzanki niby zdro-
wie i szczęście, o których mówi się, że
sa prawem każdego człowieka. Niedobra
jest śmierć w obliczu łagodnych żywio-
łów, powołanych do tworzenia zdrowia
i szczęścia. Wyroku na Piotrze nie wy-
konano. Na plac upadł konny Kozak,
a z ostrza jego piki powiewał papier
z ulaskawieniem. Sciegienny poszedł na
katorgę. Był jednak świadkiem kaźni
i śmierci jego dwóch braci. Liczba ofiar
spisku była ogromna. Schwytanych cze-
kały różgi, więzienia, zsyłki.

Czy znajomość tego życiorysu nie uży-
żniała i nie użyżnia naszej wyobraźni?

Więć Sciegiennego, Bileza, leży niespełna
czterdzieści kilometrów od naszej wsi, w
której umieściłem akcję powieści. Zakła-
dałem więc, że wieść o buntowniczym
księdzu (dawnym uczniu naszej szkoły)
musiała tutaj dotrzeć. Ze przywodziła
także „Złota księżeczka” Sciegiennego.
Można z dużym prawdopodobieństwem po-
wiedzieć, że w tych okolicach przeżywa-

no tragedię księdza. Jeden z moich bo-
haterów, przeglądając „Historię Demo-
kracji Polskiej” Limanowskiego zakreślił
następujące miejsce: Jakkolwiek spiszek
księdza Sciegiennego w oczach rządu na-
jeźdźczego wydawał się być groźniejszy,
aniżeli był w istocie, to jednak miał on
ogromne znaczenie w historii naszej po-
rozbiarowej. Był to spiszek chłopów, ma-
jący na celu interes samych chłopów.
Istniał on parę lat, i pomimo że setki,
tysiące włościan do niego należały, wła-
dze najeźdźcze nie nie wiedziały o jego
istnieniu, i dopiero, gdy ks. Sciegienny
ośmielił się powodziem, zwołał wielkie
zgromadzenie chłopów w lesie we wsi
Krajno pod Kielcami, znalazł się zdradca
i dał wiedzieć policji o odbytym zgro-
wadzeniu.

Książka Sowińskiego o Sciegiennym
jest utworem literackim, jak pisze autor,
popularyzującym postać niezwykłego
chłopa w sutannie. Być może, że ktoś z
naszych okolic był zamieszany w spi-
sek; że oglądał scenę kaźni. A potem,
drżąc z przejęcia, opowiadał o niej w do-
mach. Wieść rozchodziła się od domu do
domu, od wsi do wsi. Może nabierała co-
raz to nowych ubarwień. Może przenosi-
ła ją dziłdy prozalne. W ten sposób
wchodziła ona do tradycji domowych.
Stawała się własnością poszczególnych
rodzin. W tym ujęciu pamięć o włas-
nym domu jest szerszą pamięcią, obei-
mującą dzieje nie tylko najbliższych.
Jest częścią historii kraju. W cytowa-
nym wywiadzie Marian Plechał powiada:
Niekiedy za jedną materię powiezi skłoni-
ni są uważać ewokacje wspomnień, w
czym pamięć miałaby grać rolę koniecz-
nego katalizatora. Innymi słowy powiezi
jest to ciągły powrót do tego, co było. Bo
to, co było, to było, to tego nie ma, cho-
ciaż jest. Podobne akcenty znajdujemy w
wyznaniach Czernika: Czuję się otocz-
ony cieniami, a może lepiej powiedzieć —
cieniami cieni. Jako rzeczywistość.
Określamy inaczej — jedną z postaci mo-
jej rzeczywistości. Poeta wierzył, że w je-
go wyobraźni utrwalała się przeżyta
przodków, ich tęsknoty, ich pragnienia,
niedola i niewola, krzywda, męka życia.
I że mimo woli stawał się rzeczywistym
ich spraw który w poręzi wyraża ich
dole. Oto jedna z wielu legend i doznań
odczytanych w murach starej szkoły.
Czy potrafimy dobrze gospodarować tym
tworzywem?

TADEUSZ PAPIER

PLASTYKA

Zapis w paszporcie: Andrzej Grun, urodzony 30 sierpnia 1939 roku w Łucku na Wołyniu. W podtekście tego zapisu jest ta pierwsza wędrowka — z Wołynia do Głiwic — potem do Gdańska, gdzie studiował w pracowni Piotra Potworowskiego — potem do Łodzi...

I tu rozpoczął swoją kolejną wiekłą podróż. Artystyczną podróż przez biel i czerni grafiki, przez teatry barw obrazów, przez klimaty i nastroje Sztuki. Każda taka podróż, to kolejna wystawa — a było ich ponad dwadzieścia — odkrywająca nowe strony świata, nowe horyzonty i pejzaże.

Wydał mi się, że Andrzej Grun poznałem gdzieś w latach sześćdziesiątych i że miało to miejsce w toruńskim hotelu „Pod Trzema Koronami”. Tak było, ale — kto wie — może poznałem go już wcześniej, w latach pięćdziesiątych w Gdańsku, w klubie „Zak”? Albo w latach czterdziestych w Gliwicach, albo jeszcze wcześniej? — w latach trzydziestych w Łucku?

Sztukę Andrzeja Gruna natomiast poznałem z całą pewnością w końcu lat sześćdziesiątych na wystawie zatytułowanej „Ziemia jałowa”. Oczywiście inspiracja tej serii grafik i rysunków był wielki poemat T.S. Eliota, ale to nie były zwykłe ilustracje (czyż można w ogóle ilustrować Eliota)? Był to plastyczny komentarz do poematu.

Dwadzieścia trzy rysunki, najczęściej wpisane w koło, w okrąg będący zegarem, ziemskim globem, kropką... To nie były ilustracje, lecz swobodna gra skojarzeń. Kręgi i koła wyznaczające kompozycyjne ramy grafice Gruna — w nich zawarta jest ta mnogość rzeczy i spraw, sugestywna wizja wywołana pospólną frazą poematu.

Strzaskane popiersia i posagi Cezarów i Aureliuszów, kobiety-nietoperze w klatkach sygnowanych cyframi... Wirują ręce i twarze kobiet ze strumykami krwi w kącikach ust, brzoza kajdanki jak złote bransolety, ręce i cyfry, tysiące cyfr, monstrualne szeregi cyfr, pokrywające drobniutką fakturę ludzkie twarze. „I brzęk i hałas z zewnątrz, gdzie rybaków tłum zbiera się o dwunastej”.

Wirowanie skojarzeń — „tu nie ma wody, tylko naga skała. Skała, brak wody i piaszczysta droga” — smukłe ręce obrosłe szpilkami, zamki (na wodzie? na lodzie?) odwrócone wieżycami w dół jak w lustrze jeziora — „w zapadłej dziurze pomiędzy górami trawy śpią w poświacie księżyca”.

Gwiazdy nietoperze o dziecięcej twarzy. I pętały w dół głowa po ścianach szesnastych. Dzwoniąc wspomnieniem dzwonów mierzających godziny W powietrzu odwrócone na dół wieże trwały...

Czytam „Ziemię jałową” i nadpływają z pamięci posępne obrazy Andrzeja Gruna. Nie wiem, czy ktoś już kiedyś wpadł na pomysł takiego

własnie malarskiego skomentowania wspaniałego, sugestywnego poematu Eliota. Wiem, że Grunowi udało się chwycić tę nitkę nastroju i atmosfery snującą się przez poemat, udało mu się chwycić ową rozkojarzoną frazę „Ziemię jałową” i zamknąć w koło i kwadrat obrazu.

Ta grafika szkokuje bogactwem tego, co się dzieje na białych kartkach. Monotematyczna ekspozycja Gruna nie była adresowana wyłącznie do miłośników czy choćby tylko do czytelników Eliota — wirujący, przebiegający świat posępnych wydarzeń i spraw jest bowiem wartościową samą w sobie. Jest zrodzony frazą eliotowskiego poematu — oczywiście — powstał dzięki talentowi poetyckiemu światu — oczywiście — ale biel i czerni tej grafiki pozostawiona sama w sobie na gładkich ścianach galerii, odarta z literatury — świeci odbitym światłem poezji przemienionej w inny gatunek sztuki.

Biel i czerni. Jak to było w Alicji w krainie czarów? „Na dużych białych kawałkach papieru staraliśmy się mazać kolorowymi i czarnymi pacykami wszystko, co tylko nam do głowy przyszło. Czasami znów robiłimy to samo zupełnie na czarno...”

Andrzej Grun stał przed czernią i bielą — te dwie pozornie zwykłe, ale podstawowe barwy najbardziej go intrzygały. Nimi rozgrywał na kartonie subtelności, tony i sciszenia Eliotowskiego poematu.

A potem tyle było tych wystaw-podróż, że kiedy któregoś lata pojechaliśmy do zamku w Reszlu na granicy Warmii i Mazur — aby otworzyć kolejną wystawę Andrzeja Gruna — trudno nam się było doliczyć, która to ekspozycja.

A potem (a może w międzyczasie?) były dziennikarskie, satyryczne przygody na łamach pism i w salonach sztuki. Były metaforyczne, przekorne i rozwichrzane „Fryzury” — swoisty komentarz do współczesności, który owa współczesność dość szybko zmieniła sprzed oczu czytelników.

Czym były jeszcze owe „Fryzury”? Zarciem — metaforą — recenzją — żartem? A może to były po prostu rysowane felietony? Ich wieloznaczność i kpina niepokoiła i oburzała „strażników rewolucji” i stróżów moralności i pryncypialności. I choć istniejąca pozorna sprzeczność między dziennikarską dosłownością a wieloznaczną metaforą — rozwichrzane „Fryzury” Andrzeja Gruna zawierały w sobie obie te cechy. I nie ma w tym sprzeczności, ponieważ dosłowność i wieloznaczność znajdowały się we „Fryzurach” na różnych płaszczyznach percepcji.

W jednym i tym samym rysunku odbiorcy ujrzyć mogli rysy żartu, wieloznaczną aluzję, złośliwą satyrę, poetycką metaforę...

Z kręgu dziennikarskich doświadczeń zrodziła się także inna podróż — przygoda Andrzeja Gruna. Podróż poprzez szpalty i łamy „Odgłosów”, w których artysta był kierownikiem graficznym. Uwiecznieniem tej podróży była niewielka wystawa w łódzkim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki.

Wówczas to w katalogu-plakacie wystawy znalazły się słowa określające tę niewielką wystawę jako WARSZTAT. Po prostu notatki do codziennej, gazetowej grafiki, ale także notatki do codziennego zapisu świata, jaki nas otacza.

Ten pospieszny, nerwowy brulion był jednak zapisem najautentycz-

JERZY WILMAŃSKI

PODRÓŻE
ANDRZEJA GRUNA

niejszym, najlepiej określającym nerwowość i pośpiech naszego czasu. I wówczas, w katalogu wystawy znalazło się to zawołanie: „Nie czytelny tego nerwowego zapisu, świadomi, iż może nam nie starczyć czasu na pełnię czytelności”.

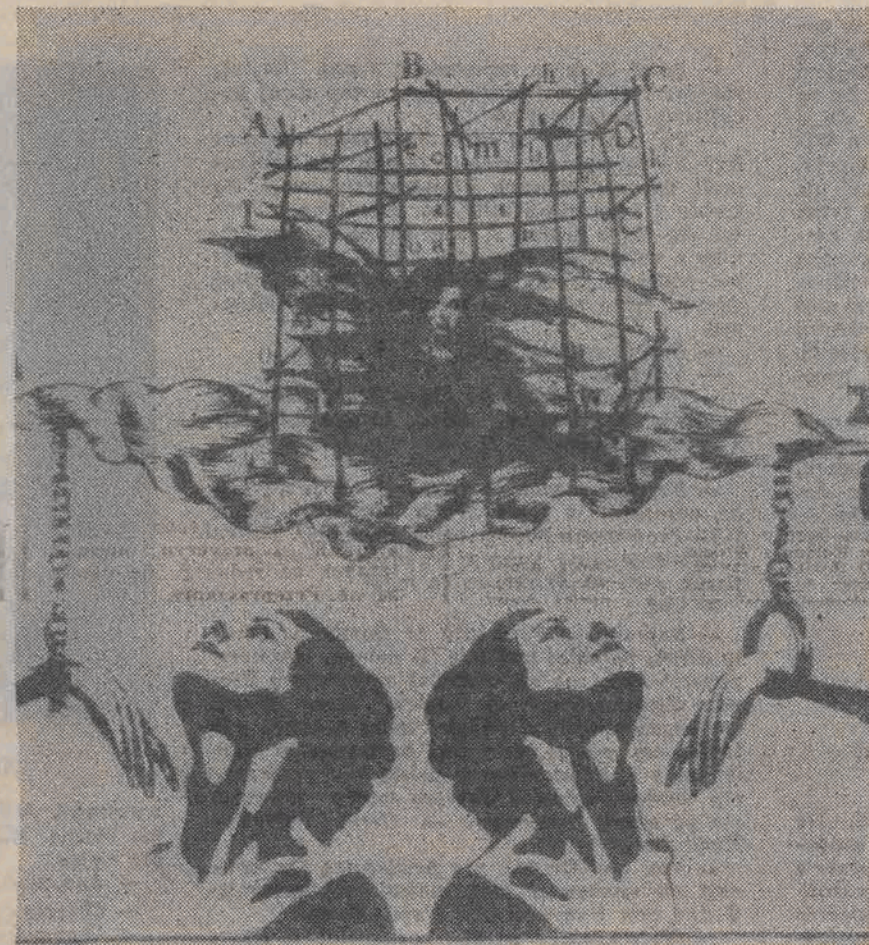
Wkrótce jednak wrócił Grun na kolejną wystawę do tamtego nerwowego zapisu. Nie czytelował go, ale przedstawił inaczej, poddał go pewnej dyscyplinie, włożył w wyznaczone przez siebie ramy. Ale i na tej wystawie w Klubie Dziennikarza odnajdowaliśmy tę samą różnorodność poetyki, ten sam rytm pospieszny, to samo pulsowanie czasu.

Czas i miejsce w czasie odciskają swoje piętno na twórczości każdego artysty. Można wieść spory i zastanawiać się — dobrze to czy źle. Oświadczyć, że to dobrze, nawet je-

śli piętno jest zbyt silne. Nawet, jeśli napór aktualności i pośpiech tworzą napór pęknięcia w artystycznej konstrukcji. Ale przecież nawet te pęknięcia mówią, jakże wymownie, o świecie tworzonym przez artystę i o świecie, w którym tworzy artysta.

Andrzej Grun, zresztą, do tych gazetowych doświadczeń i inspiracji go wyraźnie nie w swojej ekspozycji przyznawał. Robił to w inny sposób — poprzez graficzne aluzje do krzyżówek i ostatnich stron magazynów, poprzez wykorzystane elementy prasowej fotografii, poprzez chwytliwy właściwy gazetowym komiksom...

Artysta jest w swojej sztuce oszczędny, ponieważ wie, że zasadą graficznego znaku w gazecie jest oszczędność. Sprowadza jednak tę



Rys. Andrzej Grun

zasadę nieraz do absurdu; stosuje przewrotną kpinkę, kiedy na symbolicznie zaznaczonym morzu rysuje symboliczny niemal znak statku z ciągnącym się nad nim żółtym dymem... Ale z tego dowcipu uśmiecha się do Gruna dziennikarska inspiracja, bowiem wiadomo przecież, że znak graficzny w gazecie to — jakże często — żart własnie.

A jednocześnie znajdujemy w tym dorobku prace zawierające w sobie jakiś ładunek bardzo tragicznej refleksji. Jak choćby ten niezgrabny człowieczek w czarnym garniturku, próbujący z pustej, zupełnie pustej, beznadziejnej równiny, wstąpić gdzieś wysoko, postrunąć gdzieś (a może odfrunąć?), osiągnąć jakiś cel, oderwać się od tej beznadziejnej równiny, gładkiej jak stół.

W swoich grafikach Andrzej Grun gromadzi swoiste artystyczne silvery. Zart obok refleksji, kolorowa fotografia obok czarnej kreski, poetycka metafora obok gazetowego dowcipu... Tak jest! I ma rację, ponieważ w tym pomieszczeniu spraw konwencji i nastrojów — metafory i prostego żartu, refleksji i kpiny — mieści się cały urok i dotkliwość świata, który Andrzej Grun utrzyma na białym kartonie.

Różnorodność i bogactwo dominuje w podróżach Andrzeja Gruna. Niespodzianka i zaskoczenie, kiedy wkrótce po wystawie metaforycznych rysunków ekspozycje — portrety.

Dziwne portrety — od delikatnej elegancji kreski zamykającej profil dziewczyny — po surowe, prawie rzeźbiarskie bryły głów rysowane szeroko węglem. Portrety będące ukłonem w stronę karykatury — i portrety będące studium ruchu twarzy. A więc znów — różnorodność koncepcji i technik graficznych.

A w międzyczasie były podróże do Anglii, Francji, Czechosłowacji, do Niemiec i na Węgry... Kolejne przygody artystyczne owocujące kolejnymi wystawami. Z tych wojaży przywoził Grun prace — oczywiście — różnorodne... Czarno-białą ołomondyńską katedrą i collage'ową feerię barw z londyńskiego przedmieścia. Panoramy Pragi zamkniętą czarną kreską i utopione w pastelach dachy Paryża... W sumie jednak z podróży na Zachód Grun przywoził prace bardziej malarskie; już nie tylko oszczędna kreska syntetyzująca bryłę architektury, ale także barwa, głębia kolorów i barwa światła. Wreszcie uczeń prof. Potworowskiego wrócił do malarstwa.

Wrócił do koloru także w grafice, operując barwnym szablonem, różniąc kolorystycznie powtarzalne motywy graficzne — tworząc nastrojowo odrębne wersje. To była kolejna przygoda-podróż Andrzeja Gruna w świecie Sztuki.

„To tylko uncja farby rozrzuca na płótnie, dionia zrecznego kłamcy, który był geniuszem...” Ta poetycka fraza również powstała pod piórem Andrzeja Gruna. Artysty wpisano w pejzaże wielu dróg i wielu miast. Studenta z sopockiej PWSSP, którego poznałem w gdańskim klubie „Zak”, wędrowca z recepcji hotelu „Pod Trzema Koronami”, którego poznałem w Toruniu — artysty z dorobkiem setek prac i wielu wystaw, którego poznałem w aurze poematu Eliota — poety, grafika, malarza i dziennikarza... Artysty o wielu obliczach i jednej, prawdziwej, ludzkiej twarzy.

Kłopoty repertuarowe z jakimi od wielu lat borykają się teatry muzyczne dziś dają o sobie znać ze zdwojoną siłą. Brak środków finansowych nie tylko nie pozwala na zamawianie u twórców nowych pozycji, ale także zamyka nasze sceny przed wieloma już istniejącymi w literaturze muzycznej utworami, których wystawienie pociągnęłoby za sobą konieczność opłacania wysokich tantiem należnych autorom bądź ich spadkobiercom.

I... „CYGAŃSKA MIŁOŚĆ”

Mając tak znacznie ograniczone pole poszukiwań repertuarowych także i łódzki Teatr Muzyczny zmuszony jest do inscenizowania klasycznych operetek, których trzy premiery odbyły się w kończącym się właśnie sezonie artystycznym. Obejrzelismy już w nim „Księżniczkę czardasa” i „Rycerza Sinobrodęgo”, a ostatnio „Cygańską miłość” Franciszka Lehara, której premiera niedawno się odbyła.

Chcąc podjąć najniższą bodaj i nie angażującą dewizowych nakładów próbę przełamania schematów inscenizacyjnych, ambitny i rzutki dyrektor Rajmund Ambrozak podjął cenną skłótną inicjatywę powierzenia reżyserii tych tytułów bądź to młodemu i znanym z innych osiągnięć inscenizacyjnych twórcom o znacznym już doświadczeniu na przykład telewizyjnym, bądź też twórcom wielce doświadczonym

i wytrawnym lecz uprawiającym na tyle inną i nawet w jakiś sposób odległą stylistykę że inną — odległość daje gwarancję pewnego nowum inscenizacyjnego i oryginalności rozwiązania scenicznego. I tak „Księżniczkę czardasa” ze znacznym sukcesem wyreżyserował doświadczony twórca telewizyjny Jerzy Woźniak, a „Rycerza Sinobrodęgo” w sposób istotnie nowy i rzeczywiście bardzo ciekawy pokazał łódzkiej publiczności gruziński artysta Guram Meliwa. „Cygańską miłość” Franciszka Lehara obejrzelismy w inscenizacji i reżyserii Tadeusza Junaka, młodego twórcy filmowego, który swoje zdolności i talent potwierdził znaczną już ilością spektakli i filmów telewizyjnych. Tadeusz Junak będąc reżyserem o dość wszechstronnych zainteresowaniach jest przy tym artystą ciągle poszukującym i trudno dziwić się jego artystycznej ciekawości oraz chęci wypróbowania swych sił w różnych gatunkach. Znając większość prac tego niezwykle współczesnego w sposobie inscenizacyjnego myślenia reżysera, znając jego upodobanie i szczególną swobodę w jaka porusza się on w kręgu złożonych problemów psychologicznych nie mogąc oprzeć się myśli, jak wielkie, pewnie już po zawarciu umowy z Teatrem Muzycznym, musiało ogarnąć go zdumienie na widok tego arcyważnego i bijącego wszelkie rekordy siłabości libretta, które Alfred Maria Willner i Robert Bodanzky napisali do muzyki Franciszka Lehara. Bo też trudno o większą miłośność i banalność z dziełem takim uczynić reżyser? Zrobić wszystko, by muzyka wzięła górę nad wątkiem i banalną fabułą, by brzmienia ładnych arli nie zakłóciła jakakolwiek rozbudowana inscenizacja, by tańcem istotnie porównującym znaleźć takie miejsce w akcji, aby stanowił jej organiczny element, no i sprawić by zarysowane przez autorów dzieła bez najmniejszej znajomości psychiki przeżył jego bohaterów okazując się bądź w części prawdziwym, a ich sylwetki mniej papierowe niż są w rzeczywistości. Ten program minimum słusznie wydał się Ta-

deuszowi Junakowi rozwiązaniem optymalnym i takie właśnie rozwiązanie meandrycznej „Cygańskiej miłości” zaproponował on w swojej inscenizacji. Zamiar ten powiódł się jednak nie bez pewnych usterek (należy wyraźnie mówić nam reżyser, że „to jej się śni”). Tadeusz Blaszyk sprawujący kierownictwo muzyczne spektaklu poprowadził przedstawienie w zmiennym rytmie, co w tym przypadku nie oznaczało niestety komplementu dla dyrygenta. Muzyka Lehara, acz istotnie różnorodna cechuje się jednak znaczną harmonijnością wewnętrzną poszczególnych części partytury. Z harmonią i rytmem orkiestry było chwilami nieco gorzej. Nierówny tempa i nie zawsze czyste brzmienie nie pozwoliły zachwylić się pracą orkiestry. Przydałoby się także pewniejsze prowadzenie solistów, którzy nabyli często rozmiłali się z orkiestrą i jeszcze częściej (a nie zaobserwowałam tego podczas poprzednich premier) zaskakiwali brakiem czystości intonacji. Zadania aktorskie postawione zespołowi przez reżysera nie wydały mi się szczególnie wygórowane i niemal wszyscy wykonali je z niezbadaną poprawnością, choć czy to z braku przekonania, czy z braku własnej inicjatywy interpretacyjnej bez odrobiny rozmachu, za to ze śmiertelną niemal powagą. Jedynie Bożena Czuchraj w roli Jolanty, Jerzy Czaplinski w roli Kajetana i Adam Koziolek w epizodycznej roli Michała ciekawiej od pozostałych wykonawców zaznaczyli swoją obecność na scenie. Mniej atrakcyjnie zaprezentowali się wykonawcy głównych partii; Renata Rentowska w roli Zoriki ładnie rozpoczęła przedstawienie, ale potem skupiwszy uwagę na wokalne stronie swojej roli (zaprezentowanej zresztą ze zmiennym powodzeniem) błysnęła tylko przez chwilę w scenie, gdy upok rzana przez Josiego zrozumiał swój błąd z godnością uznała senny wybór za nieodwracalny. Zbigniew Bobowski jako ojciec Zoriki zaprezentował się dośkonale nam znany z innych premier zasób środków aktorskich i wątku już niestety kondycję wo-

OPERETKA

kalną. Podobnie wypada mi ocenić *Małgorzatę Wilk*, której osobisty wdzięk i atrakcyjna uroda nie zrównoważyły braku niezbędnych środków aktorskich, ani też nie przydały wartości propozycji wokalne, której najsłabszą stroną były partie koloraturowe. Cieniućką kreską stracił się zarysować kreowaną przez siebie postać *Zbigniewa Walocha* ale grasz Wołodajowski (nawet jeśli Josi i nazw „pan Michał”) mieli identyczne temperamento — w co wątpliwe wyraża. Należy często też zwracać uwagę na różne potknięcia intonacyjne. Niewątpliwie najlepiej od strony wokalne zaprezentował się Henryk Trybus. O aktorstwie trudno jednak w ogóle mówić w przypadku tego talentowanego i obdarzonego ładnym tenorem oraz dużą kulturą wokalną śpiewaka. Wypada zatem pochwalić reżysera za takie ustawienie odzwierciedlające przez Henryka Trybusa roli Jolanty, które sprowadziła ją jedynie do obecności na scenie. możliwie tak dyskretnie jak skądinąd zakomponował ją Lehar. Olbrzymi i bardzo ładny udział ma w scenicznym kształcie „Cygańskiej miłości” *Janina Niesobka*, autorka choreografii. Tańce były naprawdę wspaniałe i balet wykonał je znakomicie. Może tylko duchem rzeki przydałoby się nieco więcej lekkości. Chór pod kierownictwem *Romana Panuty* winien jeszcze popracować nad dykcją. „Cygańska miłość” rozegrała się w prosty, ale niejednoznaczny stylizowany scenografii. Bardzo ładne natomiast stworzył *Anna Bobrowska-Ekier* kostiumy.

Odjechały kolorowe wozy... Co zaproponuje nam Teatr Muzyczny po urlopie...?

EWA PANKIEWICZ

ODGŁOSY 9

Dalszy ciąg ze str. 1

Odtąd sława tego drobnego, płowego warszawiaka rosła w tempie zawrotnym: a to blisk na Zduńskich Krakowskich, a to w Filharmonii, mówili o nim radio, pisały gazety, mając niespełna dziesięć lat występował już z takimi sławami estrady, jak Jerzy Matuszkiewicz i wyjeżdżał z grupą Polish All Stars do Danii, potem rozpoczął flirt z doskonale prosperującym i głośnym zespołem świętej pamięci Zygmunta Wicharego, gdzie zresztą pierwszym jego instrumentem był kontrabas, a dopiero drugim puzon.

Nie jestem w stanie i wcale nie żywię takich ambicji, aby wylizywać wszystkie zespoły, tradycyjne i nowoczesne, w których grał kiedyś Zbyszek Namysłowski. Było tego w każdym razie bardzo dużo. Wciąż ze zmianami, wciąż wyjeżdżał za granicę, wkrótce zresztą miał się skumać z bliskimi memu sercu łódzkimi muzykami: Kajtkiem Wojciechowskim, Włodzimierzem Gulgowskim i Michałem Urbanakiem.

Dwaj z nich, Wojciechowski i Gulgowski, wyjechali ze mną, w końcu lat pięćdziesiątych, na sakso do Miedzyzdrojów. W to duszne, zadreżone upałami lato, o dziewczyny było łatwiej, niż o pracę, graliśmy od przypadku do przypadku różne chałtury w okolicach: to w Wielecie, to w Świnoujściu, to w Dziwnowie, spalo się w różnych barach i namiotach, a potem ułożyło nam trochę, bo ściągnął do kurortu Wichary z chłopakami.

Trzeba wiedzieć, że Miedzyzdroje były wówczas prawdziwym polskim Nowym Orleanem, w którym nie mogła równać się żadna inna nadmorska miejscowość. Zawitali tu zresztą na sezon wszyscy znani w kraju muzycy. Boże! Ta atmosfera, te koncerty i „jamy”, to nieprawdopodobne zatrzęsienie barów, knajp i restauracji, w których od wczesnego popołudnia aż do późnej nocy zawodziły saksofony i trąbki.

Niektóre nazwy szczególnie zapadły mi w pamięć: a więc Europa, Srebrna Fala, Baltyk, Piekielek, Aurora, Non stop, Mozaika, Siedem czarnych kotów. Ci, których zatrudniono tu na dwa-trzy miesiące, nie musieli martwić się o jedzenie, pieniądze i spanie. Jeśli chodzi o Wicharówce — obce im były wszelkie kłopoty. Jak przystało na sławny zespół estradowy, nie grali w ogóle do tańca, do knajp chodzili tylko dla własnej przyjemności, żeby napić się czegoś, albo posłuchać jakiegoś renomowanego jazzmena. Spali zaś w drewnianym pensjonacie pewnej podstarzałej hrabiny, mieli tam pięć albo sześć pomieszczeń i byli bardzo gościnni dla dziewczyn i dla bezdomnych przyjaciół. Inna rzecz, że ciągle im coś gineło: radio, magnetofon, pieniądze...

Najlepszymi muzykami w zespole Wicharego byli wtedy: fenomenalny, jak na owe czasy, trębacz Piotr Kott, puzonista Bruno Buczek, klarinetista Miroslaw Wójcik i perkusista Jerzy Kowalski. Śpiewała natomiast Mulałka — Carmen Moreno oraz, jeśli sobie dobrze przypominam, Bogusław Wyrabek.

Pewnego dnia Kott powiedział do mnie: — Chodź, Maks, idziemy na dworzec. — Po co? — Przyjeżdża Zbyszek Namysłowski. — Poważnie mówisz? — Tak. — Ale ja go nie znam. — To go poznasz. Chyba, że nie chcesz? — Chcę. Tylko nie wiem, czy on chce. — Nie wygłupiaj się. Idziemy.

No i wysiadł z autobusu Namysłowski. Na ramieniu miał torbę, na bosych nogach sandały, a w ręku kornet. Ubrany był w spodnie z płótna żółtego i w starą, spłowiałą koszulę. Dwadzieścia parę lat później, dokładnie 20 maja 1981 roku, a jeszcze dokładniej: w środę, o godzinie 18.30, znowu zobaczyłem Zbyszka Namysłowskiego, tym razem w łódzkim klubie studenckim pod „Ślodemkami”.

W przerwie między jednym koncertem a drugim przywitał się ze mną bardzo serdecznie. A potem, z całym jego Air Condition, poszliśmy do Malinowej na kolację. Ubrany był tak, jak kiedyś w Miedzyzdrojach: szławiata koszula, jakaś kurtka, białe, letnie dżinsy i sandały na bosych nogach. Fryzura afro od ostatniego telewizyjnego koncertu zdążyła mu trochę popuścić. Wyglądał zupełnie tak, jak wtedy Zbyszek z kornetem. Nie zdołała go zmienić ani świetna, bądź co bądź sława, ani pieniądze, ani kilka długich lat, które spędził ostatnio w Nowym Jorku, ani setki płyt i setki

koncertów odegranych w kilkudziesięciu krajach świata w towarzystwie muzyków najwyższego lotu.

Wypytywałem go na przemian z Kajtkiem Wojciechowskim, który mieszka teraz na stałe w Sztokholmie i który także nagrał ze świetnymi muzykami wiele różnych płyt, w tym dwie z Abba.

— A pamiętasz, Zbyszek, jak się wszyscy poznaliśmy w Miedzyzdrojach?

— Pamiętasz, jak kiedyś graliśmy nocną chałturę w Dziwnowie? Nie było bębnow, więc Plastyk walił palami na zwykłe krzesło, Włodek Gulgowski (obecnie również w Sztokholmie i również sława) siedział przy rozstrojonym pianinie, a my obaj wydzielaliśmy się na trąbkach? A nad ranem wypelznął z jakiegoś namiotu niedospany i rozczochrany Jonasz Kofta?

— A potem spotykaliśmy się wielokrotnie w Warszawie i Łodzi, w knajpach, na „Jamach” i koncertach, przy kielichu i przy muzyce. I było zawsze cholernie fajnie. Kiedyś graliśmy koncert z kapelą „Tiger rag” w Pałacyku na Piotrkowskiej — ty na puzonie, Wojciechowski na klaracie, Makowiecki na trąbce, Orłowski na bębnie, ktoś tam jeszcze na pianinie i na basie. Jezu! Ten entuzjazm! I te dziewczyny!

— Potem ściągnąłeś Kajtkę do Warszawy, a później zrobiliście zespół z Gulgowskim i Urbanakiem i wyjechaliście do Stanów...

— Boże! A teraz najmłodszy z nas, Kajtek, ma już trzydzieści siedem lat, a my dwaj zaczęliśmy piątą krzyżkę!

— Ty, powiedz, na czym ty jeszcze nie grałeś? Na fortepianie grałeś? Grałeś. Na wiolonczeli, puzonie, bębnie i kontrabasie grałeś. Na trąbce i kornecie grałeś. Na saksofonach grałeś. Na flecie grałeś. A więc chyba ma wszystkim z wyjątkiem klarnetu, z tym, że klarnet ma podobne krycie jak flet i saksofony, więc gdybyś tylko chciał, w miesiąc byłbyś najlepszy.

— Babcia jeszcze żyje?

— Nie żyje.

— Mieszkasz wciąż na Placu Zbawiciela.

— Nie. Przeniósłem się do innego mieszkania. Chcecie adres?

— Chcemy.

— Stuchaj, niedawno puszczał cię przez kilka wieczorów z rzędu Willis Conover Music USA (najslawniejszy jazzowy prezydent świata i najslawniejsza jazzowa audycja świata — przyp. autor). Wiesz, co to było?

— Co?

— Nagrania z Festiwalu w Bombaju. Dzień w dzień, po całej godzinie. Z pompą. Najpierw powitał obecnego na widowni ambasadora Stanów Zjednoczonych w Indiach, zaraz potem ambasadora PRL, a później zadął ludziom pytanie, czy wiedzą, jaki jest bezwzględnie najlepszy z najbliższych polskich muzyków jazzowych wszechczasów? I dopiero wtedy wywołał cię na scenę. Powiedział: — Great Zbigniew Namysłowski!

— Nie, nie! On tak nie powiedział. On nauczył się wymawiać moje nazwisko poprawnie. Zaden tam Namysłowski! Namysłowski!

— Może i tak. A później powiedział: — Uwaga! Państwo, oni zaczęli teraz liczyć po polsku! I wy rzeczywiście zaczęliście liczyć! Raz — dwa — trzy — cztery! Raz — dwa — trzy — cztery!

— Stuchaj, Zbyszek, dlaczego grasz z niemieckim perkusistą?

— Nie mogę po prostu znaleźć w Polsce faceta, który nadawałby się do naszego zespołu.

— Czy to znaczy, że nie ma już dobrych perkusistów?

— Sa. Ale grają nie tak, jak trzeba.

— Nie chce się wierzyć. Taki ogromny naród, trzydzieści sześć milionów, a nie można z tego wybrać ani jednego zdolnego bębniarszczyka?

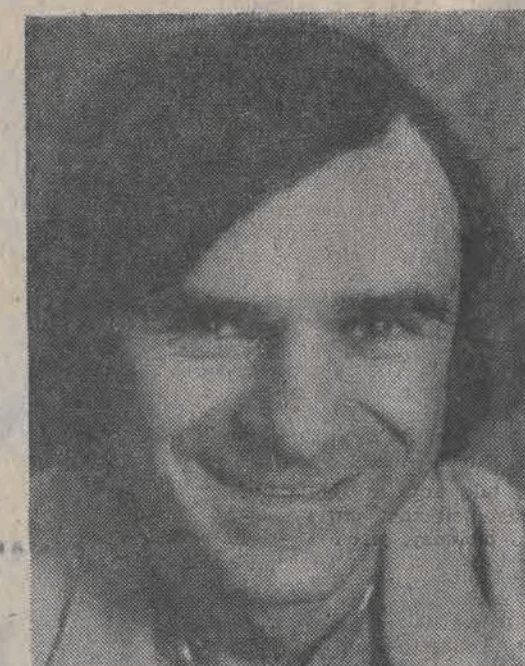
— Maks — tłumaczy Kajtek — dawno wypa-

dłeś z muzyki, więc nie jesteś w stanie tego



Zbigniew Namysłowski

GREAT NAMYSŁOWSKI



Kajtek Wojciechowski

zrozumieć. Jak Zbyszek mówi, że nie można, to nie można. Ale fakt, że ten Niemiec również gra słabo.

— Ano, słabo.

— Chcecie go wymienić?

— Oczywiście. Ciągłe szukamy jakiegoś utalentowanego gościa, który byłby w stanie zagrać ostro i nowocześnie, tak, jak grają teraz muzycy amerykańscy.

— Dlaczego wróciłeś do Polski?

— Dostałem bilet od filmowców: Nowy Jork — Warszawa — Nowy Jork. W Polsce zaczął się rozkręcać biznes, więc zostałem.

— A żona z córką w Ameryce?

— Tak.

— Może tam jeszcze kiedyś pojedziesz?

— Może. Ale w Ameryce nawet najznakomitszym muzykom jest ciężko. Najlepszy dowód, że wielu z nich emigruje do Europy...

— Bedne kolo?

— Nazwij to sobie, jak chcesz.

— Swoją drogą — cholerna i dzwna sprawa

z tym jazzem. Gość cieszy się niby ogromną sławą, puszcza ją w radio, w telewizji, nagrywa płyty i muzykę filmową, w sumie jednak ciągle boi się przyszłości.

— Żeby utrzymać się na górze, trzeba inwestować. Maks — mówi Wojciechowski. — W repertuar, w sprzęt, w instrumenty, w reklamę, w muzyków. Są to rzeczy nieprzeobrażalnie drogie. Pomyśl sobie: ile ciężkich tysięcy dolarów musi zapłacić organizator za samą salę, w której ma odbyć się koncert. Dołóż do tego plakaty, zwiastuny prasowe, techniczną obsługę orkiestry, no i gaże artystów. Cały czas drżymy nie tylko z tremy, ale i ze strachu, że może nie dopisnąć widowiska, albo że nagle, zamiast spodziewanych kokosów, zrobimy plajtę. Poza tym, aby utrzymać się na górze, po winieś mieć dobre towarzystwo, dobre ubranie, dobry samochód, dobre mieszkanie, grać w tenisa z mistrzami, bywać na przyjęciach, a przy tym wszystkim wypić się jeszcze do syta i ćwiczyc po kilka godzin dziennie.

— Ciężko, mimo wszystko, być muzykiem.

— Cholernie ciężko.

— Ale wam się to podoba?

Namysłowski i Wojciechowski przytakuja. Niczego innego w życiu nie potrafiliby robić. Jazz pochłoniął ich bez reszty i na zawsze.

Namysłowski na przykład mówi, że kiedy ma do wyboru grać, albo posłuchać najlepszych choćby swoich zagrań, choćby to były wspomniane już edycje Willis Conovera, zawsze wybiera to pierwsze. Prawdziwe życie zaczyna się po prostu wtedy, kiedy bierze do ręki saksofon, wszystko inne jest tylko jakimś tam, mniej lub bardziej ważnym, przerywnikiem. Pewnie! dobrze spotkać kolegów, wypić kielicha, zjeść coś dobrego, wykapać się w ciepłym morzu. Ale tak na dobrą sprawę...

— Jakie są twoje ambicje, Zbyszek?

— Grać.

— Jak jest twoje największe marzenie?

— Grać.

Podobnie, jak w innych dyscyplinach artystycznych, również w muzyce mogą być różne odcienie talentu. Ktoś na przykład może mieć doskonały słuch. Ktoś inny — doskonałe wyczucie harmonii. Zdarzają się muzycy, którzy nie mają ani dobrego słuchu, ani dobrego wyczucia harmonii, a przecież fenomenalnie potrafią czytać nuty. Jeszcze inni mają wrodzoną łatwość techniczną, biorą po prostu do ręki instrument i robią z nim to, czego nigdy nie potrafia z nim zrobić ludzie po wyższych studiach muzycznych. Są również i goście, którzy lubią i potrafią zmieniać instrumenty jak rękawiczki, za co by się nie chwycili — grają, i to dobrze!

Co by tu jeszcze wymienić?

Niektórzy mają fenomenalne wyczucie rytmu. Niektórzy fenomenalną pamięć muzyczną, dzięki czemu mogą powtórzyć po jednokrotnym wysłuchaniu najbardziej skomplikowaną, wielogłosową kompozycję Bacha. Są goście pozbawieni na pozór jakiegokolwiek zdolności — ale posłuchaj za to, jaki mają przepiękny, głęboki, pełen wzruszenia ton! Są tacy, których żywiołem jest kompozycja. Są tacy, którzy wyżywają się w niepisanej improwizacji. Na koniec — są i tacy, których w młodości przekreśliła rodzina i przyjaciele, a oni osiągnęli sławę dzięki mozołnej, katorżniczej pracy.

Myślę, że Namysłowski zawdzięcza swoje ogromne, bezprecedensowe sukcesy temu, iż matka natura obdarzyła go szczerze wszystkim tymi odcieniami talentu, a on potrafił je wszystkie tak pięknie i głęboko rozwinąć.

Myślę ponadto, że Namysłowski zawdzięcza wiele swojemu polskiemu pochodzeniu. Gdzieś tam zawsze, w improwizacji, w temacie, przezwinię się nagle jakiś motyw góralski, albo tęskna mazowiecka nutka. Coś bardzo osobistego, swojskiego i niepowtarzalnego. Ludziom w kraju robi się wtedy na sercu słuczno.

Za granicą publiczność również wychwytuje te tony.

Trudno sobie wyobrazić, a przecież tak było, że w dalekim, obcym Nowym Jorku Amerykanie zwolowali się na koncerty Namysłowskiego. Murzyni błyskali oczami i mówili do siebie:

— Fajnie, idziemy posłuchać tego genialnego Polaka.

MACIEJ ANDRZEJEWSKI

Foto: R. Łucyszyn

LISTY DO REDAKCJI

KTO JEST KIM?

W 26 numerze „Odgłosów” z 28 czerwca 1981 roku ukazał się list Reginy Piatkowskiej, która wśród wielu innych pytań zadawała też i następujące: „Kimże wreszcie jest pan Lucjusz Włodkowski, mieniacz się redaktorem dziennika PZPR?”

Nie dziwi mnie tego rodzaju pytanie. Każdy może pytać i powinien uzyskać odpowiedź na swoje pytanie. Jeśli pani Regina Piatkowska nie wie kim jestem i jakie mam poglądy, to proponuję jej spędzić trochę wolnego czasu w jednej z łódzkich bibliotek i poczytać sobie to wszystko co do tej pory pisałem. Sporo się tego uzbrała, ale to już nie moja wina, że trzeba będzie sporo tego czasu poświęcić.

Przy okazji pragnę również wyjaśnić, że nie mam nic do redaktora dziennika PZPR, a zostałem na to stanowisko mianowany przez kompetentne władze administracyjne i polityczne. To tak dla formalnej ścisłości. Skoro już stawiamy pytanie publicznie, to warto zadbać o ich precyzję. Ale mniejsza o to.

Ja też mam pytanie. Kim jest pani Regina Piatkowska? Pytanie moje jest

tym bardziej uzasadnione, że pani ta podaje swój adres: „Łódź, ul. Kusocińskiego 10”. Sprawdziłem. Posiadam pisemne potwierdzenie Oddziału Ewidencji Ludności i Dowodów Osobistych Wydziału Spraw Wewnętrznych Urzędu Miasta Łodzi (przepraszam za przydługą nazwę, ale nie ja ja wymyśliłem), który to oddział 30 czerwca 1981 roku stwierdza, że Regina Piatkowska „nie jest zameldowana na ul. Kusocińskiego 10 i nie była”. Kimże więc jest p. Regina Piatkowska? Oto jest pytanie.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze

W 25 numerze tygodnika „Pamięć” z 21 czerwca br. ukazał się reportaż Arkadiusza Wyszczkowski, pt. „Województwo i takówkarze”. Autor reportażu w jednym z akapitów pisze: „Na sal obecną był także przedstawiciel prasy red. Sas z „Odgłosów”...”. Za kilka naskle zdań dalej: „Także w „Odgłosach” nie ukazał się żaden tekst, mimo obietnicy danej takówkarzom”.

Z niepokojem i dużym zdziwieniem przeczytałem te dwa zdania, ponieważ

nigdy i nigdzie nie przedstawiałem się jako pracownik ani współpracownik „Odgłosów”, a tym bardziej nie podejmowałem w imieniu redakcji żadnych zobowiązań — zwłaszcza dotyczących publikowania jakiegokolwiek tekstu.

Byłem wprawdzie obecny na zebraniu Piotrkowskich takówkarzy, zaproszony przez działaczy „Solidarności”, ale nie występowałem tam jako dziennikarz z „Odgłosów”. Po prostu w ogóle nie przedstawiałem się uczestnikom zebrania, a kilka z obecnych osób wiedziało, kim jestem i gdzie rzeczywiście pracuję.

Nie mogę dalszą drogą, w jaki sposób do autora reportażu w „Pamięci” dotarła informacja, jakoby przedstawił się jako Wasz pracownik i obiecywał napisać w „Odgłosach” o sprawie talonów na samochody dla takówkarzy. Mogę tylko stwierdzić, że nie jest ona prawdziwa i na pewno nie powstała z mojej winy. Liczę, iż zechce Pan poinformować o tym swych czytelników, a przede wszystkim kolegów — dziennikarzy zatrudnionych w „Odgłosach”, których serdecznie przepraszam za to, iż w związku z tym nieporozumieniem wystawiona została na szwank ich zawodowa rzetelność. Przy tym jeszcze raz oświadczam, że stało się to bez mego świadomego udziału i w sposób zupełnie dla mnie niewytłumaczalny. Pozostaje z szacunkiem

TOMASZ SAS

Do Panów Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków oraz Dyrektora Wojewódzkiego Wydziału Ochrony Środowiska w Sieradzu

Z nieopisanym zdumieniem stwierdzam, że do dnia dzisiejszego ani do redakcji „Odgłosów”, ani na mój adres nie wpłynęła odpowiedź na mój skierowany do Panów list otwarty opublikowany we wrześniu ubiegłego roku w tygodniku „Odgłosy” w sprawie skandalicznego stanu i natychmiastowej konieczności ratowania zabytków architektury i przyrody na terenie parkowo-dworskim we wsi Niemchów w województwie sieradzkim.

Przykro mi, że muszę z konieczności przypomnieć Panom, że: 1) Odpisywanie na listy należy do podstawowych obowiązków obywatelskich i obywateli, którzy w sposób wyjątkowo i wychowania w krajach z kręgu kultury śródziemnomorskiej obowiązków respektowanych od głębokiej starożytności.

2) odpisywanie na listy o charakterze skarg, zażaleń, interpelacji, projektów itp. jest nie tylko sprawą dobrej woli i dobrego wychowania urzędników państwowych na stanowiskach kierowniczych, lecz ich prawnym obowiązkiem, którego winni są dopełnić w terminie do

tygodni sześciu. O ile mnie kalendarz nie myli, termin ten przekroczył Panowie ewentualnie dawno.

Nie chce korzystać, o ile to tylko możliwe, z przysługujących obywatelowi uprawnień przy tego rodzaju przypadkach i oczekuje informacji od Panów, jak sprawa wspomnianych zabytków wygląda na dzień dzisiejszy i co Panowie przedsięwzięli w tej materii.

Z poważaniem

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 25 Waszego pisma ukazał się list byłego dyrektora Teatru Lalek „Pomnik” Jerzego Michałaka. W związku z tym pozwalam sobie przypomnieć, że moja wypowiedź w Magazynie Kulturalnym IV 28.05.81 r. dotyczyła zgłoszenia przez Stowarzyszenie Twórców Kultury, a następnie wycofania wniosku o votum nieufności dla dyrektora Wydziału Kultury, a o pana Michałaka — zabierała w jednym zdaniu, także okazuje się trzuciałem, że musiał odejść na życzenie własnego zespołu (patrz list zespołu ogłoszony m. in. w 21 „Odgłosach”). List b. dyrektora jest typowym przykładem na rozpowszechniony ostatnio w wielu kręgach sposób dyskutowania, że jeżeli nie dysponuje się argumentami, obraża się adwersarza, a tym samym nie jest podstawa do podjęcia polemiki.

HENRYKA RUMOWSKA

Motto: „Stwierdzenie wystarczy mu
za wyjaśnienie.”
(Włodzimierz Sedlak)

DLA KOGO TEN „ZWIERZĘCY KRUŻ”?

Na dwóch stronach „Odgłosów” z dn. 6 czerwca br. przedstawiono poglądy prof. W. Sedlaka nt. istoty życia, przytoczono fragmenty jego książek „Bioelektronika” i „Homo electronicus” uzupełnione o jego wypowiedzi dla prasy o sobie, nauce i swym pośmiertnictwie w nauce; przytoczono też opinie o nim. Aczkolwiek przedrukowanych wywodów z obu dzieł nie byłam w stanie pojąć (do czego uczywie się przynajmniej ze względu na przedziwne poplątanie pojęć, niejasności terminologiczne i brak precyzji sformułowań, to jednak ogólny ton tych materiałów zrozumiałem, śmiem mniemać, poprawnie. Ducha tych materiałów oddaje wypowiedź, którą warto przytoczyć w całości:

1. CYTAT PIERWSZY, ENTUZJASTYCZNY

„Dla mnie prof. W. Sedlak jest jedną z największych szans nauki polskiej, szansą na przywrócenie jej utraconego miejsca w świecie. Jako humanista spodziewam się, że teoria prof. Sedlaka doprowadzi do zbliżenia różnych dyscyplin naukowych, a zwłaszcza nauk ścisłych z humanistycznymi. Prof. W. Sedlak jest dla mnie laureatem nagrody Nobla in spe. W jednym z wywiadów Profesor powiedział, że nie dysponuje finansami ani zespołem ludzi, z którymi mógłby prowadzić badania. To przeżądające, że państwo nie rozpoznało mecenatu nad badaniami Profesora, nie udzieliło mu daleko idącej pomocy. Uważam, iż należy się z tym pośpieszyć, gdyż grozi nam sytuacja, w której na zasadzie: „Mądry Polak po szkodzi”, ktoś inny gdzieś w świecie dyskrytuje osiągnięcia Polaka.”

Historia znów się więc powtarza — z jednej strony samotny geniusz myśli i tytan pracy, a z drugiej państwo skapiące grozą, marnotratna nauka polska i międzynarodowa banda naukowców czających na cudze myśli, jak owi zbójcy przy drodze na powracającego tań! Takie przynajmniej wrażenie może odnieść Czytelnik nie zorientowany w codziennych sprawach nauki.

Warto na początek sprostować, że państwo nie skapiło grozą na badania, chociaż każdy naukowiec jest zdania — co rozumiałe — iż skapiło. Spora część tego groza została zmarnowana poprzez skierowanie w niegodne ręce, to też prawda. W sumie jednak każdy naukowiec polski w ubiegłym X-leciu mógł uzyskać tyle funduszy w złotych ile mu było potrzeba, o ile przedstawił rozsądny program badań i udowodnił, że jest w stanie fundusze te należycie wykorzystać. To samo mógł uczynić prof. Sedlak. Gdyby zaś niezbędna aparatura była naprawdę nieosiągalna w kraju, to bez trudu mógłby wyjechać do najprzedniejszych laboratoriów świata i to na ich zaproszenie i koszt, gdyby tamnym radom naukowym odpowiedni program badawczy przedłożył, i gdyby program ów zyskał przychylną opinię ekspertów. Tak postępują setki i tysiące polskich fizyków, chemików, biologów i uczonych innych specjalności. Jeżeli Profesor laboratorium ani współpracowników nie ma, to zapewne dlatego, iż nie chciał ich mieć; zapewne też programów badawczych — w formie nadającej się do weryfikacji doświadczalnej, nie przedstawił żadnemu z potencjalnych mecenasów.

I tu dochodzimy do sedna, nieznanego przeciętnemu Czytelnikowi. Aby o sedno to chociaż lekko otrzeć się, należy zadać pytanie:

2. JAK MUSI MÓWIĆ UCZONY GDZIE I DO KOGO?

W nauce takiej jak biologia, tj. eksperymentalnej a nie scholastycznej, liczą się wyłącznie sprawdzalne fakty lub teorie na faktach zbudowane, logicznie spójne, podane do szerszej wiadomości w takiej formie, aby każdy specjalista mógł zapoznać się z nimi i zweryfikować je. W tym celu istnieją specjalne czasopisma, drukujące tzw. oryginalne komunikaty naukowe, w których to komunikatach (pisanymi zwykle w języku angielskim) muszą się znajdować takie rozdziały jak „wstęp” za-

poznający ze stanem zagadnienia, „materiały i metody” opisujące sposób wykonania doświadczeń lub charakteryzujące teoretyczny aparat badawczy, „wyniki” podające co uzyskano w laboratorium lub co wykonano, „dyskusja” wyników łącząca ze sformulowaniem pewnych ide uogólniających, oraz „literatura”, tj. wykaz prac źródłowych. Pisarstwem naukowym rządzi ściśle określone zasady, które muszą być przestrzegane, jeżeli komunikat ma mieć charakter naukowy, i jeżeli przekazywane treści mają zostać przyjęte przez naukę. 3) A wszystko to po to, aby inny specjalista mógł sprawdzić — tak w przypadku pracy eksperymentalnej jak i teoretycznej czy autor poprawnie formułuje zagadnienie; czy jest obiektywny w stosunku do innych autorów; czy nie przemilcza pewnych „niewygodnych” faktów; czy nie gwałci praw logiki; czy swoich wniosków lub idei nie odrywa od kontaktu z rzeczywistością, czy nie powołuje do istnienia bytów nieistniejących, itd.

Z jakiej zaś trybuny i do kogo przemawiał, tj. gdzie publikował swoje rozprawy prof. Sedlak? W periodykach KUL — które nie są szerzej dostępne w świecie oraz w czasopiśmie popularyzującym osiągnięcia wiedzy przyrodniczej, jak „Kosmos”. Zbiorowe zaś dzieła ukazywały się nakładem nie PWN czy Ossolineum, lecz nakładem PAX (1979) i PIW (1980), które to wydawnictwa do naukowych nie należą.

Tym samym świat naukowy nie mógł i nie może zapoznać się z ideami prof. Sedlaka. Biologia jest jedną, niezależnie od miejsca jej uprawiania — czy to w Polsce, czy w Australii. Przeto i każdy biolog musi mówić tak, aby go słyszano i rozumiano wszędzie tam, gdzie znajdują się inni biolodzy, jeżeli pragnie dołożyć swoją bryłkę złota do skarbnicy wiedzy, a nie tylko mnożyć sum informacyjną. Profesor Sedlak wiedząc, że tworzy hipotezę łamiącą bieżące kanony i poglądy, a samowiedzy tej niejednokrotnie dawał wyraz, w tym i na łamach „Odgłosów” — miał wręcz obowiązek podać swoje prace do wiadomości wszystkim potencjalnie zainteresowanym specjalistom, wykorzystując ku temu łatwo dostępne kanały rozpowszechniania informacji naukowej w świecie. Nie uczynił tego — łamiąc tym samym jedną z podstawowych zasad etycznych zawodu naukowca.

Jeśli więc można zgłaszać pretensje to nie do naszego państwa, iż skapiło grozą na badania, lecz do prof. Sedlaka, iż łamiąc „tradycyjne” poglądy w biologii złamał również zasady fair play rządzące sferą wymiany informacji pomiędzy naukowcami, a tym samym uniemożliwił specjalistom z różnych stron świata ocenę wartości sformułowanej idei i podjęcie merytorycznej dyskusji. Zresztą, może zasady etyczne nauki to też „tradycja” warta złamania?

Rzeczy nauki dotyczące nawet powinny dostawać się na łamy prasy popularnej, ale dopiero po przejściu przez tygiel krytyki w świecie naukowym. Jeżeli kolejność jest odwrotna, to mamy do czynienia ze wszystkim, z wyjątkiem nauki. Kto zaś podając „rzecz naukową” do wiadomości naukowcom, badaczom i myślicielom, oraz przed wysłuchaniem ich opinii — ten grzeszy, i to ciężko!

3. CYTATY DRUGIE, PESYMICZNE

Tymczasem szersza analiza wartości prac prof. Sedlaka dokonana przez specjalistę ukazała się dopiero teraz, tj. grubo po uzyskaniu przez te prace rozgłosu w mass-mediumach. Jest to głos prof. K. I. Wierchowskiego, opublikowany na łamach warszawskiego „Kosmosu” w dziale recenzji. Ta wyjątkowo obszerna, bo 12-stronicowa recenzja dotyczy bezpośrednio „Bioelektroniki”, lecz zawiera również ocenę 10-letnich prac prof. Sedlaka, ponieważ w „Bioelektronice” przedrukowano jego wcześniejsze rozprawy. Wypowiedź przedstawia długą listę bardzo poważnych zastrzeżeń i zarzutów merytorycznych. Ponieważ Czytelnik może się z nimi zapoznać sięgając po „Kosmos”, przytoczmy tylko dla ilustracji dwie opinie, w całej rozciągłości

przez recenzenta udokumentowane:

„Na podstawie tej samokrytycznej oceny można by sądzić, że artykuły Sedlaka mają charakter esejów naukowych. Bliższa analiza ich treści pokazuje, że tak nie jest. Odbiegają one bowiem swoim stylem nie tyle „od wszystkich dotychczasowych kryteriów” 5), jak by to chciał autor, ile nie spełniają podstawowych kryteriów stosowanych do oceny prac naukowych i popularnonaukowych. (...) Publikacje Sedlaka są więc w moim przekonaniu czymś pośrednim pomiędzy pseudonaukową rozprawą i niezamierzoną fantastyką naukową w rodzaju science-fiction”.

Ostro to powiedziane, bo i fenomen domaga się zdecydowanego odporu! A teraz druga opinia:

„W przeprowadzonej analizie ograniczyłem się tylko do ujawnienia najbardziej drastycznych przykładów dowolnego traktowania treści cytowanego piśmiennictwa i wiedzy, na którą się powołuje. „Tolerancja interpretacyjna” w cytowaniu piśmiennictwa, do której Sedlak się przynajmniej, przekracza niewątpliwie dopuszczalne granice. W liczącym ponad 500 stron tomie nie ma chyba jednej kartki, na której nie można by znaleźć błędnie użytego terminu, ówierz lub półprawdy w relacjach z lektury i w opartych na tak relacyjnych faktach, wnioskach, które autor formułuje z niesłychaną łatwością i pozorami szerokiej erudycji. Wiele sformułowań graniczy z humorem z zeszytów akademickich.

Przy tym wszystkim autor „Bioelektroniki” uważa się za twórcę nowej teorii rewolucjonizującej nauki biologiczne. Stawia się sam w rzędzie wielkich uczonych naszych czasów.”

Być może przez prof. K. I. Wierchowskiego — jako wybitnego biochemika — przemawia rutyna i zawodowe uodpornienie na nowe, rewolucyjne idee; może niczego nie rozumiał, może gruntownie się myli? Być może. Tyle tylko, że w nauce głosy tradycjonalistów też się liczą — jeżeli nie mają racji, należy ich o tym przekonać sposobami obowiązującymi w świecie nauki; najlepiej eksperymentem; jeżeli czegoś nie rozumieją — należy im wytłumaczyć, też sposobami obowiązującymi w tym świecie. Język współczesnego uczonego jest raczej bardzo łagodny. Jeżeli więc recenzent używa określeń tak dosadnych, jak w przytoczonych dwóch fragmentach obszerniej wypowiedzi, to fakt ten powinien przynajmniej skłonić do zastanowienia się nad jakością ocenianego dzieła.

4. O NAUCE — NIE BEŁKOTAĆ; W GŁOWACH — NIE BEŁTAĆ!

Diennikarzom, ad hoc kreującym laureatów nagrody Nobla warto przypomnieć, że nagrodę tę przynajmniej nie za odkrycia, które przełomowo poszerzyły wiedzę o świecie. Sprawdzianem jest tu fakt, że publikację opisującą to odkrycie lub tę ideę znają „wszyscy” specjaliści i studenci, nawiązują do niej, potwierdzają ją, poszerzają. Dopiero gdy odkrycie przejdzie przez ogień krytyki naukowej, gdy da ono początek lawinie nowych odkryć (jak np. model struktury DNA, lub penicylina) to można powiedzieć, że autor go-dzien jest wyróżnienia nagrodą Nobla.

Diennikarze powinni pisać o nauce i naukowcach. Jeżeli jednak zamierzają formułować tak pochopne opinie jak przytoczona na wstępie, to mimo wszystko byłoby lepiej, gdyby wcześniej zasięgnęli opinii świata naukowego; a gdy już opinii takich zasięgną, to do publicznej wiadomości powinni podawać nie tylko te wyłącznie pochlebne, lub tylko te ujemne, ale wszystkie. Aby obraz był pełny. Aby zwyczajnemu czytelnikowi — który jest skazany na wlewanie — nie bełtać w głowie.

W ogóle zaś to sprawę kreowania wielkości w nauce najlepiej pozostawić samej nauce. Jakoś tak się bowiem składa, że w naukach ścisłych — a do takich niewątpliwie należy biologia, w której tak żywo działa prof. Sedlak — naturalne mechanizmy selekcyjne działają w miarę sprawnie, w związku z czym każdy sprawiedliwy w końcu doczeka się sprawiedliwości. Gwiazdy zapalone sztucznie — np. T. Łysenko lub prof. Petrucci — szybko gasną. I odwrotnie, nikt i nic nie tłumni na dłuższą gwiazdę gwiazdy prawdziwej. Przeto i oddano sprawiedliwość Grzegorzowi Mendelowi, zakonnikowi z Moraw, mimo iż odkrycia sformułowanych przez niego praw dziedziczenia dokonano niezależnie po raz drugi, albo- wiem popełnił błąd Mendel błąd opublikowania swojej rozprawy w języku mało znanym i w czasopiśmie jeszcze mniej rozpowszechnionym. W tamtych czasach jednak wymagania odnośnie sposobu przedstawiania prac naukowych nie były tak wyraźne sprecyzowane jak obecnie. Można więc Mendla rozgrzeszyć, albowiem ze skromności to uczynił.

Tego samego nie można zrobić w odniesieniu do prof. Sedlaka. Jeżeli

szanuje on zarówno biologów jak i czytelników polskiej prasy, to opublikuj swoje prace w języku kongresowym i w czasopiśmie międzynarodowym, np. w „Journal of Theoretical Biology”. Jeśli jego idea oprze się problemom na prawdę naukową; jeżeli jest ona rzeczywiście rewolucyjna — to rychło znajdzie wyznawców, uczniów i kontynuatorów, otwierając nową erę w biologii. Jeśli ta idea jest niewypałem, to słuch po niej szybko przeminie. Co pozostanie? — Niesmak do diennikarzy, którzy wyrokuje, zanim trybunały do tego powołane wyrok wydadzą.

Stan nauki w Polsce nie jest kwitujący. Lecz nie jest on na tyle dyshabitujący, aby swojej „największej szansy” miała na oślep szukać w idei prof. Sedlaka. Nauka ideę tę musi najpierw „na zimno” rozpatrzyć — jeżeli Profesor zechce ją przedstawić w sposób trochę bardziej tradycyjny i na właściwym forum. Jak na razie — nie przedstawiał. Przeto nie ma sprawy w nauce.

Jest natomiast sprawa o bełtanie. „Odgłosy” bowiem — przedstawiające te materiały, uczciwie zdezinformowały. Wniosek z tego taki, że wszystkim nam by się przydało trochę więcej umiaru w ferowaniu sądów i opinii, trochę więcej zimnej wody na rozpalone czoła. Gdy bowiem o nauce ma być mowa, winna to być mowa rzetelna, udokumentowana i pozbawiona emocji, a przede wszystkim obiektywnie rozpatrująca realną rzeczywistość — jak sama nauka.

5. WOLĘ BYĆ PÓŁGŁÓWKIEM

Powatpiewać też można, czy idea prof. Sedlaka doprowadzi do „zbliżenia nauk ścisłych z humanistycznymi” jak chce redaktor. Humanistom być może podoba się płynność i enigmatyczność sformułowań Profesora oraz jego nonszalanca wobec faktów. Skoro naukom ścisłym to się nie podoba, to może należałoby działalność Profesora przeklasyfikować, przenosząc ją z biologii do nauk humanistycznych. A skoro to dokonane zostanie, to może znajdzie się filozof czy poeta, który wyjaśni, co oznacza takie chociażby zdanie, przedrukowane przez „Odgłosy” z dzieła „Homo electronicus”: „Może dynamiczna kompozycja materii i antymaterii dała ten zryw albo iskra z za świata upadła w zwierzęcy kruż; może nieznan duch go zapłodnił, którego istnienie człowiek najłatwiej przyjmował; a może chodzi tylko o fizjologię i niefizjologiczne efekty sięgania szczytów intelektualnych?” 1)

Szczególnie frapujący jest ów „zwierzęcy kruż” — znajduje się li humanista, który wyjaśni o co tu chodzi, bowiem wyjaśnienie krużu podane przez Słownik Języka Polskiego (t. 3, s. 1183; WP, Warszawa 1961) zupełnie nie pasuje do przmiotnika zwierzęcy? Zoologowie też na temat krużu nie powiedzieli nie potrafili. Jeśli zaś znajdzie się fizyk, który wyjaśni czym jest owa „dynamiczna kompozycja materii i antymaterii”, to uwerzę nie tylko w iskry z zaświatów tudzież duchy, ale w dodatku zgodzę się „na modelowe potraktowanie człowieka jako skalowanego układu elektronicznego zbudowanego z białkowych półprzewodników i piezoelektryków organicznych” 1) jak chce Profesor. Zgodzę się też, aby konstruowano minie na taśmach elektronicznych „Polkolory”, i to nawet bez udziału ducha. Wcześniej prosilibym tylko o maleńki dowód, że białka mojego ciała są rzeczywiście półprzewodnikami i niczym więcej, a cała reszta to piezoelektryki.

Póki co, przedkładam fizjologię nad „niefizjologiczne efekty sięgania ku szczytom intelektualnym”; przedkładam też swój tradycyjny model z mięsa i kości nad półprzewodniki oraz piezoelektryki. Dzięki temu nigdy nie sięgając szczytów, przynajmniej nie stoczę się na dno intelektualne. A to z tego powodu, że mięsem i kością oraz fizjologią trudniej sterować i manipulować, niż półprzewodnikiem. Z dwójga złego wole być półgłówkiem niż półprzewodnikiem, stwierdzam przeto: nie dla mnie ten zwierzęcy kruż!

Stwierdzam też, że mnie „stwierdzenie” nie „wystarcza za wyjaśnienie” 1). Co jako biolog i fizjolog potwierdzam własnoręcznie i czytelnym podpisem w liście do Redaktora — dokładnie tak, jak życzy sobie pracownicy pocztowi i bankowi, kierujący się w swych poczynaniach fizjologią: oni też wolą widzieć raczej istotę z krwi i kości przed okienkiem kasowym, niż „dynamiczny elektronowy kontur ciała człowieka.” 1)

6. PO CO W OGÓLE TA REAKCJA?

Czytelnicy mają prawo zadać pytanie, dlaczego tak ostro reaguję? Dlatego, że w naszych wysocy cywilizowanych i demokratycznych czasach prymitywną przemoc fizyczną zastąpiła możliwość wywierania — bezkarnie! — niesłychanie intensywnych i wyrafinowanej przemocy psychicznej i otumaniania przez podawanie spraw wątpliwych za niewątpliwie. Ponieważ każdy z nas musi codziennie przyjmować ogrom informacji na wiarę, przeto każdy z nas ma obowiązek prostować to, o czym wie — z racji pełnionego zawodu lub dostępu do źródeł — że zostało skrzywione. Każdy z nas powinien czuć się odpowiedzialny za to, aby do pozostałych z nas docierał obiektywny obraz rzeczy, bez zniekształceń dyktowanych najróżnorodniejszymi pobudkami. A przede wszystkim należy troszczyć się o przestrzeganie zasad etyki zawodowej — jeżeli tej będzie więcej, to i prawdy przybędzie, to i odpowiedzialność stanie się rzeczą pospolitą, i to spacer ubędzie; lżej się będzie oddychać, w każdym środowisku.

J. STANISŁAW KNYPL

- 1) Cytaty z fragmentów „Homo electronicus”, przedrukowanych przez „Odgłosy”.
- 2) Homo electronicus i jego świat. Homo electronicus — klucz do zrozumienia życia. „Odgłosy” nr 23/1255, s. 6 i 7, 1981.
- 3) J. S. Knypl: Gdzie publikować, aby nie zagubić oryginalnej informacji naukowej? „Nauka Polska” nr 5/80, s. 71-82, 1980.
- 4) K. I. Wierchowski: W. Sedlak, Bioelektronika, Instytut Wydawniczy Pax, 1979, „Kosmos” t. 30, nr 2/69, s. 183-194, 1981.
- 5) Cudysłowo w zdaniach prof. Wierchowskiego stanowią cytaty z wypowiedzi prof. Sedlaka w „Bioelektronice”.

ZAPROSZENIE DO WSPÓŁPRACY

Szanowny Panie Profesorze!

Zapewne nie tylko czytelnika zdziwi Pańska ostra reakcja. Dziwi również i mnie — autorkę opublikowanego w „Odgłosach” opracowania o prof. W. Sedlaku. Domyślam się, że również pod moim adresem kieruje Pan swoje zarzuty na temat odpowiedzialności i etyki zawodowej diennikarzy parających się problematyką naukową.

Nie widzę jednak nic nieodpowiedzialnego i sprzecznego z etyką zawodową w tym, iż opracowałam relację ze spotkania z prof. Sedlakim na otwartym posiedzeniu Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. M. Kopernika. Być może, jako biolog i fizjolog, jest Pan także członkiem tego Towarzystwa.

Trudno także dopatrzeć się czegoś występnego w przytoczeniu opinii sześciu osób na temat prof. Sedlaka i jego pracy. Fakt, iż moi rozmówcy należeli do zwolenników, ba, nawet entuzjastów bioelektroniki. Jeśli jednak wyrażali się pochlebnie o dorobku prof. Sedlaka, to moją diennikarską powinnością było takie opinie przekazać. Nie dobiierałam faktów ani opinii moich rozmówców do z góry postawionej tezy. A że nie natrafiłam na przeciwników teorii prof. Sedlaka...

O bioelektronice i prof. W. Sedlaku „bełkotali” także w „Odgłosach” prof. Julian Aleksandrowicz i prof. Jadwiga Jakubowska. Nie tylko ja żywię głęboki szacunek dla wiedzy, szeroki horyzontów intelektualnych i postaw etycznych tych osób. Pomija Pan jednak milczeniem ich wypowiedzi, kierując swój cały publicystyczny kunszt na polemikę z moim redakcyjnym kolegą. Cóż jednak w tym niemoralnego, że red. Jacek Indelak typuje prof. W. Sedlaka do Nagrody Nobla. Podzielając ten pogląd również inni. Jest to prywatna opinia red. Indelaka i ma do niej prawo. Tak, jak Pan Profesor może typować swojego kandydata. I ujawnić go publicznie. Niedawno, w ten sposób mówiono w audycji telewizyjnej o fizyku, prof. Włodzimierz Zawadzkim. I nic się nie stało.

Tyle z mojej strony. I jeszcze jedno. Jeśli Pan Profesor będzie miał kiedyś pomysł na spopularyzowanie jakiegoś kontrowersyjnego, współczesnego problemu naukowego, serdecznie zapraszam na łamy „Odgłosów”. Mam jednak prośbę; aby swoje przyszłe materiały przeznaczał Pan nie dla „zwyczajnego czytelnika”, bo takiej kategorii czytelników nie znam, ale po prostu — DLA CZYTELNIKÓW.

Z poważaniem
MAŁGORZATA
GOLICKA

Pytają mnie ludzie: kto właściwie ma rację w tych wszystkich polemicznych listach i protestach rozsyłanych po „Odgłosach”, „Głosie” i „Dzienniku”, a dotyczących mojego felietonu sprzed prawie dwóch miesięcy? Czy rację ma Wybitny Dyrygent („protestuję przeciwko używaniu mojego nazwiska” — pisze, więc nie używam), czy ma rację również Wybitny Recenzent, zarzucający mi demagogię, czy mają

że wyjechał z Łodzi, bo Wilmański rozpowszechnia nieprawdziwe wiadomości o władzach kultury... O Wybitnym Dyrygencie nie miałem przyjemności pisać przez dwadzieścia lat mojej pracy dziennikarskiej, bo na muzyce się nie znam, a o utworach literackich Wybitnego Dyrygenta pisać nie chciałem, ponieważ moja opinia mogłaby go skrzywdzić. Czy więc skrzywdziłem Wybitnego Dyrygenta, wymienia-

leczka Wybitnego Dyrygenta. Dlatego uważam, że byłem uprawniony do zwrócenia uwagi na zjawisko. Nawet, jeśli moja publikacja naznaczona była piętnem tendencyjności. Bawiem tendencyjność to jeszcze nie znaczy nierzetelność.

Wracając jednak do sprawy, chcę te moje refleksje przypomnieć do szerszego tła. Istnieje ono realnie i jest dramatyczne. Te moje — zgoda, że tendencyjne — refleksje zdziły się przecież w sytuacji, w której na najbliższe lata sprawy kultury spadną na zupełnie daleki plan. Nie mówi się o nich ani w dyskusjach przed zjazdem partii, ani w materiałach programowych „Solidarności”, ani w oficjalnych materiałach rządowych.

Czy zatem w tej sytuacji mają sens personalne rozstrzygnięcia, partycularny upór w sprawach drugoplanowych — cała ta gra pozorów, mająca robić wrażenie jakiejś polityki kulturalnej w mieście. Otóż, twierdząc, że takiej kompleksowej polityki dostosowanej do realnej sytuacji — po prostu nie ma. Tego moją adwersarce nie spozstrzegali, koncentrując się na własnych urazach, układach i drażliwościach, rozpętlając kampanię polemiczną, która prowadziła do absolutnej zgodności z działalnością kulturalną władz, która także prowadziła do katastrofy. Przynajmniej w tym zakresie istnieje jakiś sens. Niestety, jest to sens wielce surrealistyczny.

JERZY WILMAŃSKI

SŁOWNIK WYRAZÓW OKRESOWYCH

Każdy okres polityczny, albo — jak my to nieprecyzyjnie nazywamy — etap, ma swoje słownictwo. W przyszłości historycy precyzyjnie dokonają periodyzacji dziejów Polski Ludowej, ale dziś musimy na własne potrzeby dzielić przeszłość na najbliższe na różne okresy w zależności od tego, jak dokonują się jakościowe zmiany w sytuacji politycznej. Nie tak dawno zmiany te narażały wolniej i nie zawsze były dostrzegane. Dziś dzieje się to wszystko w szybkim tempie. Szybko też zmienia się słownictwo. Właściwie nie ma w tym nic złego, gdyż wszakże wprowadzanie do życia terminy i pojęcia były używane precyzyjnie, a co za tym idzie jednoznacznie rozumiane. Inaczej rodzą nieporozumienia. Tak było między innymi z ostawianymi „strukturami poziomymi”, które w swojej istocie strukturami nie były. I wreszcie ktoś rozsądny zaproponował, aby termin „struktura” zastąpić pojęciem „porozumienie”, bo to pojęcie oddawało dobrze istotę zjawiska, jakie nie tak dawno pojawiło się w życiu partyjnym.

Coś podobnego dzieje się dziś z pojęciem „forum”. Przypomnę może, że łacińskie „forum” oznacza plac, na którym w miastach starożytnego Rzymu odbywały się zebrania ludowe, targi i sądy. Każdy, kto uczył się historii starożytnej, stykał się z tym słowem. W przenośni „forum” oznacza miejsce publicznych wystąpień, przemówień, dyskusji. Nasz czas teraz nie jest „forum” jako instytucję. Mamy więc „Forum Katowickie”, „Forum Poznańskie”, „Bydgoskie Forum Przedsiębiorców” i wiele innych. Niekiedy z tych „forów” podejmują uchwały, rezolucje, prezentują swoje stanowiska, a co więcej, mają określoną władzę, którą kierują pracami tych grup ludzi związanych jednnością poglądów. Czyż nie są to również struktury, i czy nie są nimi bardziej niż były „porozumienia poziome”?

W moim przekonaniu każde „forum” jest tylko miejscem wymiany poglądów. Każda wymiana poglądów musi prowadzić do jakiegoś celu. Sama w sobie — czyli gadanie dla gadania, nie ma żadnego sensu. Zrozumiałe, że jak ludzie dojdą do wspólnego wniosku, to chcą ten wniosek utrwalić i przekazać go innym. Ale to nie ma nic wspólnego z żadną instytucją, z żadnym oficjalnym stanowiskiem. Przeciwnie może na różne instytucje

wpływać dodatnio lub ujemnie, pożytecznie lub szkodliwie. Może spotkać się z krytyką lub uznaniem. Może i powinno wywołać dalszą dyskusję i w wyniku tej dyskusji wnioski tego czy innego zgromadzenia ludzi szukających jakichś rozwiązań, lub mających tylko dla takich rozwiązań pewne propozycje, mogą być zaaprobowane lub odrzucone. Jak w życiu.

Pojęcie „forum” stało się tak popularne i tak niejednoznaczne, że Słownictwo Dziennikarzy Polskich, które od dawna organizuje spotkania na różne tematy w swojej siedzibie przy ul. Foksal w Warszawie, zmieniło nazwę „forum” na „agora”. Termin „agora” jest pochodzenia greckiego i oznacza dokładnie to samo, co „forum”, czyli miejsce zgromadzenia obywateli w miastach starożytnej Grecji, a także takie zgromadzenie. Mam wszakże wątpliwości, czy zmiana nazwy zmieni istotę zjawiska? A istotę zjawiska stanowi dla mnie wielka dowolność, z jaką posługujemy się różnymi terminami, czasem w dobrej wierze, a czasem bezmyślnie lub w zupełnie konkretnie określonych celach, nie mających nic wspólnego z postępowaniem w rozwiązywaniu naszego kryzysu.

Wielką karierę zrobiło też słowo „manipulacja”. Dokładnie oznacza to ręczne wykonywanie jakichś czynności, zwłaszcza wymagających precyzji, zręczności, wyszkolenia, umiejętności, ale także: ogół czynności związanych z załatwianiem jakiejś sprawy, zmierzających do osiągnięcia jakiegoś celu, wreszcie: sposób postępowania, procedurę. Jak z tego widać w „manipulowaniu” nie ma żadnego ujemnego sensu. Więcej nawet — uważam, że w ogóle nie można uprawiać polityki bez „manipulowania”, gdyż inaczej nie osiągniemy nigdy zamierzonego celu. Każde działanie prowadzące do osiągnięcia zamierzonego celu musi być nazwane „manipulowaniem”.

Rozumiem jednak, że wszelki protest przeciw „manipulowaniu” oraz obawa, aby nie było „manipulowania” wynika z dążenia aby działania polityczne były zgodne z wolą mas. Ujemny sens „manipulowania” polega — według mnie — na tym, że politycy podejmowali i inspirowali takie działania, które nie były po myśli społeczeństwa i w konsekwencji temu społeczeństwu szkodziły. Wielu ludzi podejrzewa, że dziś niektórzy politycy różnych szczebli też podejmują takie działania i protest przeciw „manipulowaniu”, przeszkadzając w „manipulowaniu”, ale takie niebezpieczne zamierzenia nieuchronnie się realizują, ale przy okazji warto pamiętać i o tym, że taka nadwrażliwość można unieść i do realizacji zamierzeń pożytecznych i społecznie pozytywnych.

MARCIN RODAK

POLEMIŚCI I SURREALIZM

racje Pieczęci różnych związków, czy w końcu ma rację Wybitny Aktor (domyślicie się!), który swoim listem na łamach „Głosu” wkracza w polemikę, nie rozumiejąc o co chodzi?

Odpowiadam: Sytuacja ma rację. Bieda tylko w tym, że nikt z polemistów nie zechciał zrozumieć jednego — tego mianowicie, że w gruncie rzeczy nie chodziło ani o Dyrektora, ani o Docenta, ani o Dyrygenta...

W wierszu Tuwima „Straszną mieszczanin” jest mowa o takich ludziach, którzy „wszystko widzą oddzielnie — że dom, że krowa, że Stas, że drzewo...”. Moim nerwowi polemici też wszystko widzą oddzielnie.

Wybitny Dyrygent w swoim niekonsekwentnym liście pisze na początku, że władze były i są znakomite — w środku pisze, że władze nie wywiązały się ze zobowiązań wobec filharmonii — a na końcu pisze,

ją go w szeregu ludzi kultury, którzy odchodzą z miasta? O co idzie tu gra i jakie są jej — nie znane mi — motywy?

Wszystkie te śmieszności, urazy i drażliwości wynikają niestety z owego „oddzielnego” widzenia. Nie jest ważne zjawisko marnienia kultury, nie jest ważne — jaki taki przynajmniej — realizm żąda... Ważny jest Jas, Stas i jeszcze parę imion. Ważne są partycularne interesy, „dżentelmeńskie” zobowiązania i — przede wszystkim — całkowity brak realizmu.

A przecież w tej tragicznej sytuacji państwa i miasta paru przynajmniej ludzi mogło dostrzec jakiś ogólniejszy sens (lub bezsens) w tym szeregu bzdur i bzdurek, jakie się w dziedzinie kultury pojawiają.

Mała to dla mnie pociecha, gdy za parę miesięcy sytuacja w kulturze łódzkiej rozwine się tak, jak przewiduję, i osiągniemy takie dno, że od spodu nie zapuka nawet pa-

TELEWIZJA

Pamiętam, że przed laty, gdy debiutująca wówczas w Opolu Urszula Sipińska szepiała na estradzie „zapomniałam twoje usta” przez cały kraj przetoczyła się burza na temat językowych wynaturzeń polskiej pisarki.

Dziś, gdy Krystyna Prońko ekspresyjnie krzyczy, wedle słów Ernesta Brylla, „za czym kolejka ta stoi!?” nie w głowie nam gramatyka: ręce same przebiegają w poszukiwaniu torby i kart zapłat. O czasy! O problemy!

Tegoroczny festiwal polski odbywa się przez zaskoczenie. Niedługo na długo przed jego rozpoczęciem, relacjonowano przygotowania orkiestry, gwiazd i kompozytorów. Tym razem jest to impreza jakby wstydliwa. No bo jakie — tu kraj pograżony w kryzysie, nie wiadomo co przyniesie jutrzejszy dzień, a my zamiast posypały głowy popiołem czekają na cud — kwitujemy sobie jak jakaś strzecha z bajki Krylowa. Pewnie dlatego TVP nie chce narażać się rozmałym „księgowym” (A ile to kosztuje? Czy nie sekunda społecznych pieniędzy? etc.) i strażnikom odnowy („składamy ostry protest przeciw odwracaniu uwagi społeczeństwa od istotnych problemów”), zapobiegliwie zrezygnowała z funkcji organizatora festiwalu. Niechaj tłumaczy się — w razie czego — prezes Towarzystwa Przyjaciół Opola. A ma on argumenty nie do zbicia (słyszałem w radiu): „polska to ostoja polskości i patriotyzmu”. Kto zaprzeczy?

Niemniej to, że festiwal jednak się odbył, telewizja skwapliwie wykorzystała, zapelniając wieczorny program czterech kolejnych dni. W dobie pustych półek taka ilość „godzin antenowych”, podsuniętych przez szczodrych gospodarzy Opola, stała się gratką nie do odrzucenia. I tak „wilk

cały i owca syta” — że powtórzę nową trawestację starego przysłowia.

Piszę o tym festiwalu tak, jakbym gorliwie go oglądał, a przecież zerkałem na mały ekran od przypadku do przypadku. Widocznie wiele robi swoje. Irylowały mnie, poza tym Boże aluzje „na czasie” prowadzących festiwalowe koncerty (celował w tym — na oślep — Bogusław Sobczuk,

„ZA CZYM KOLEJKA TA STOOO!..”

znany rektor telewizyjny), śmieszyły te damskie szarawary i bryczesy-monstre (Maria Jęzowska), rozdziały chętyki, odkasznięcia i charkoty oraz inne, ostre objawy infekcji gardła, które sponsorzy szos-biznesu nazywają „muzyką młodej generacji” bądź „stylem disco”.

Tegoroczny festiwal nie był tylko beztrojskim pieniem: polska estrada deklarowała procent od czasów odnowy, niekiedy podrażniona monetą. Nawet gdy piosenka była o czym innym, prezydent dyskontował ją opowiadając, że właśnie jutro nastąpi odsłonięcie pomnika Jedności w Poznaniu. Chodziło o to — jak polecał — Andrzej Jaremski — „abyśmy z piosenką szli w codzienne kłopoty i zmartwienia, czego Państwu życzę!” Nawet sentymentalna ramotka Osieckiej i Abramowa pod tytułem „Okularnicy” brzmiała w Opolu jak pompatyczny protest-song. Kto wie czy teraz NZS nie uzna tej piosenki za swój hymn?

Jury miało więc węża w kieszeni — czemu nie ma się co dziwić — i główne nagrody zachowało

na rok przyszły. Mimo tego koncert „laureatów” i tak trwał ponad rozsądną miarę.

I w tym felietonie powtarzam slogan o „dobie pustych półek” w TVP. Prawdę mówiąc, tymczasem owo spostrzeżenie (przypominane często przez szefów z Woronicza) nie bardzo się sprawdza w praktyce. Widać, że panowie redaktorzy dwójka się i trojka, aby widownię przy odbiornikach u-

trzymać. Świadczą o tym zapowiedzi niedzielnej (28 czerwca) „Anteny”: parę filmów, i to dewizowych, kilka sztuk teatralnych, także, ciekawie się zapowiadające, programy publicystyczne. Czego chcieć więcej?

Spośród wszystkich programów minionego tygodnia wyróżniłbym przede wszystkim spotkanie z Jerzym Andrzejewskim. Pisarz po trosze zapoznany, funkcjonujący w powszechnym („szkolnym”) odbiorze jedynie jako autor „Popiołu i diamentu”, nie był dotąd takawie traktowany przez mas-medię. To niedzielne spotkanie ujawniło najwyraźniej, że Jerzy Andrzejewski nie jest zgorzkniałym skrajem rozpaczy i przesiadywania duszy, starcem zdystansowanym wobec teraźniejszości (taki image mistrza rysują rozmowane noty autobiograficzne w „Literaturze”). Jest natomiast wciąż żywota osobowością o młodzieńczej przenikliwości takim spojrzem i brzmieniem głosu. Okazuje się, że znać pisarza, to nie tylko czytać tego dzieła (w „Pamiętniku” ma być już oficjalnie, jego „Miazga”, którą na-

leży oceniać za jedno z najważniejszych osiągnięć polskiej literatury, także znana nieelitycznym — „Apelacja”), to również móc z nim mieć kontakt pozaczytelniczy, widzieć w nim — by tak rzec — normalne człowieczeństwo. Pisarz to nie tylko twórca jakichś nieoczywistych światów. I również człowiek żyjący „tu i teraz”, dla którego to „tu i teraz” jest na równi ważne z regionami powieściowych ułud.

Niedzielne spotkanie uświadomiło mi także fakt, że Jerzy Andrzejewski nie istniał dotąd w „konkretności” współczesnej kultury. To zdęcia „przy okazji”, które tu i ówdzie zamieszczano, przedstawiały obraz pisarza z odległej przeszłości. Zatem przez pierwsze minuty audycji notowałem w świadomości, że ta właśnie twarz, ta sylwetka to autor „Bram raju”, „Ciemności kryją ziemię”, „Idzie skoczyć po porań”, „Teraz na ciebie zagląda”, „Już prawie nie”. I taka obecność pisarza jest ważna.

Być może, w najbliższym czasie, Redakcja Publicystyki Kulturalnej, poświęci Andrzejewskiemu cały cykl rozmów — tak jak to było choćby w przypadku Teodora Parnickiego. Niechaj i ten pisarz odzyska swoje miejsce na kulturalnej mapie współczesności.

Ponieważ rozstaje się z „Odgłosami” na okres wakacji, tak sobie myślę, czy składanie Czytelnikom życzeń wspaniałych urlopów nie będzie w obecnej sytuacji uznane za grubą nieakt? Och! Właściwie do podziwu było jakiegoś, ścisłując w ręku, karte zapłat. W radio mówią „do usłyszenia”, w tv „do zobaczenia”, a w gazecie? Do przeczytania!

GRZEGORZ GAZDA

★ MIĘDZY TOBĄ A MNĄ ★

Codziennie każdy z nas rozmawia co najmniej z kilkoma osobami. Z członkami rodziny, z kolegami w pracy, z sąsiadami. Z przyjaciółmi i z zupełnie nieznanymi osobami. Z dorosłymi i z dziećmi.

Każdemu z nich chcemy coś przekazać. O czymś poinformować. Czy naprawdę przekazujemy to, co chcemy? Czy mówimy dość jasno

★ MIĘDZY MNĄ A TOBĄ ★

zakłócenia w porozumiewaniu się między wia-

Musimy nauczyć się dyskutować, polemizować i spierać. Musimy nauczyć się rozmawiać jak obywatel z obywatelem, szef z podwładnym, kolega z kolegą, mąż z żoną, a więc jak CZŁOWIEK Z CZŁOWIEKIEM.

Długa to będzie nauka. W poprzednim numerze „Odgłosów” w dyskusji z pracownikami Ośrodka Leczenia Nerwicy przy Klinice Psychiatrycznej Akademii Medycznej w Łodzi zapowiadaliśmy ten temat. Zaczniemy od przeanalizowania (jako, że najlepiej uczyć się na błędach) sposobu porozumiewania się w sytuacjach dobrze znanych każdemu z codziennego życia.

ROZMOWA PIERWSZA, CZYLI O CO WŁAŚCIWIE CHODZI

Mąż: — Mogłabyś trochę wcześniej przyjść do domu. Siedzę tu już godzinę i czekam na ciebie.

Żona: — Nie złość się. Ja już nie mogę. Nie wytrzymuję tego. To co się dzieje, przechodzi ludzkie pojęcie.

Mąż: — Ale konkretnie. O co chodzi?

Żona: — Dwie godziny stałam w kolejce po papierosy. Nie chciały mnie przepuścić. Z dzieckiem poszłam. Nic nie pomogło.

Mąż: — Dobre sobie. Z dzieckiem! Trzeba było jeszcze trzy koleżanki zabrać ze sobą. Możesz nie palić. Papierosów już dawno nie ma.

Żona: — Przecież wiesz, jak ja walczę z tym paleniem. Już nie mogę. Przerazona jestem. Dziecko też. O mało hysterii tam nie dostał.

Mąż: — Przecież mogły mnie przepuścić. Tylko dwie paczki papierosów chciałam. Awantura się taka straszna zrobiła. O mało mnie nie pobili. Dlatego tak późno przyszedłam.

Mąż: — Nie opowiadaj. Zawsze późno przychodziłaś. Dziecka nie było i też późno wracałaś od mamusi. Masz obiad?

Żona: — Oczywiście, że nie. Kiedy miałam

★ MIĘDZY NAMI A WAMI ★

zrobić? Myślałam, że wcześniej wrócę. Tę

Mąż: — Przecież robisz. Chleb kupuję. Też szukałam w trzech sklepach. Bieliznę z magla przyniosłam. Wiesz, jak jestem zajęty. Ciągłe mam zebrania. Też myślałam, staramy się coś poprawić. O! Papierosy będą rozdzielane w zakładach pracy.

Żona: — Nie mogłeś tego od razu powiedzieć. Nie byłoby całej sprawy. Tylko, że ciebie wcale nie obchodzi, że ja się męczę. Zebrania! Dużo wymyślisz na tych zebraniach.

Mąż: — Zawsze coś wymyślimy. Tak mówisz jakbyś nie wiedziała o się dookoła dzieje. Co robimy? Nigdy się nie interesowałaś tym, co ja robię.

Żona: — Ty topisz czas na zebrania, a ja się wykańczam.

Mąż: — Skończmy już. Będzie coś do jedzenia? Albo nie. Odechciało mi się. Nie masz czegoś do picia? Znowu się źle czuję. Kłuje mnie pod łopatką. Chyba się położę.

Spróbujmy razem z mgr Joanną Olszewską mgr Marią Chańko, mgr Ewą Siniarską i dr Andrzejem Górą dokonać analizy tej scenki.

Pierwsze wnioski, jakie narzucają się obserwatorom rozmowy, to niezrozumienie przez żonę i męża wzajemnych intencji. Intencją męża było zwrócenie uwagi żonie, że nie dość troszczy się o niego, że nie przygotowała na czas obiadu i każe mu czekać na siebie. Intencją żony — pozyskanie współczucia i zrozumienia dla jej przeżyć w ciągu dnia, zwłaszcza drastycznej sceny przy kiosku z papierosami.

Tymczasem mąż zupełnie nie zwrócił na to uwagi. Przeciwnie — zastrzył jeszcze sytuację i zwiększył zdenerwowanie żony, wypominając jej, że nie pierwszy raz wraca późno do domu. Przypomina jej, że odwiedzała matkę. Wyraża chęć ją dotknąć, co jest dalekie od regu „fair play”.

KRÓTKI KURS POROZUMIEWANIA

i bezpośrednio? Czy potrafimy słuchać, co mówią do nas nasi rozmówcy? Jednym słowem, czy potrafimy porozumiewać się między sobą?

NIE — twierdzą psychiatrzy i psycholodzy. Zaburzenia w porozumiewaniu się stanowią jedno z źródeł poważnych konfliktów i sprzyjają powstawaniu nerwicy.

NIE — dodają specjaliści zajmujący się komunikowaniem w społeczeństwie. Ostatnie lata wykazały aż nadto boleśnie, iż jedną z przyczyn także społecznego kryzysu były całkowite

★ MIĘDZY WAMI A NAMI ★

Żona natomiast zupełnie nie dostrzegła, że mąż jest po prostu głodny, że przyszedł z pracy i od godziny czeka na nią. Ciałę czas oczekuje od niego współczucia i pomocy. Nie mówi tego wprost. Tylko raz napomyka, że mogłoby więcej robić dla domu. Też obraża męża, dotyka go w czule miejsce, wymiatając jego idee i pracę społeczną. Mąż broni się, w swoim przekonaniu pomaga, wystarczająco dużo. Ucina rozmowę, kieruje uwagę żony na swoje dolegliwości nerwiczne, które pozwalają mu wycofać się z trudnej sytuacji.

Ta rozmowa niczego nie załatwiła, nie nie rozwiązała. Obydwójka cały czas przetrząsała winę z jednej osoby na drugą. „Ja jestem w porządku. To wszystko przez ciebie”. Pretensje były zbyt ogólne — „Nigdy się nie interesowałaś”, itp., a właściwie przyczyny kłótni — nie wyjaśnione.

Żadne z nich nie dostrzegło swoich błędów. Nie wykazało też dobrej woli, aby rozładować napięcie.

Przyczyny takiego stanu rzeczy muszą w tym małżeństwie tkwić znacznie głębiej. Aby dojść do tego, dlaczego ci ludzie tak ze sobą rozmawiają, trzeba by lepiej poznać ich wspólną przeszłość i charakter. Z tej krótkiej rozmowy wynika, że jutro kłótnia zacznie się od nowa. Tylko pretekst będzie inny. Już nie kolejka po papierosy, ale może rozlana woda w łazience, może teczka położona na czystym obrusie? Obydwójka niczego się z tej rozmowy nie nauczyli. Zakończyli ją z poczuciem krzywdy i niezrozumienia. Stali się sobie jeszcze bardziej obcy.

Wyobraźmy sobie siebie na miejscu męża czy żony. Jak reagujemy w podobnych sytuacjach? Czy nasze rozmowy są podobne? Jeśli tak, to dlaczego? Co możemy zrobić, aby miały inny przebieg?

cdn.

Do druku przygotowała:
MALGORZATA GOLICKA